

The background of the cover is a detailed illustration of a Zergling, a small, insect-like creature from the StarCraft II universe. It has a purple and brown segmented body, multiple pairs of legs, and a large, glowing green eye. The creature is shown in a dynamic, forward-leaning pose, with its mouth open as if roaring or attacking. The lighting is dramatic, with a bright yellow-green glow on the left side, suggesting a fire or energy source. The overall color palette is dark, with purples, browns, and greens.

STARCRRAFT®
HEART OF THE SWARM

W ciemności

David Gerrold

W ciemności

David Gerrold

— Złotowłosa!

Jake wyszczerzył zęby obserwując wyświetlacz przed sobą. Statek znajdował się zbyt daleko, więc planeta pozostawała jeszcze niewidoczna, ale parametry miała optymalne — nawet lepiej niż optymalne.

Ciepła, krążąca po niezbyt oddalonej od żółtego słońca orbicie. Wokół trzy małe księżycy, ale dostatecznie duże, aby generować pływy morskie i stabilizować oś planety. 90,09% grawitacji standardowej. 73% powierzchni pokryte wodą. 31% tlenu w atmosferze. Średnia temperatura — 24 stopnie Celsjusza. Sezonowo występowały co prawda super-burze, ale tak działo się na niemal każdej planecie posiadającej atmosferę. Jeden kontynent, długi i nieregularny, rozciągał się od rejonów arktycznych na północy po strefę umiarkowaną daleko na południu. Kilka archipelagów dużych wysp, z nielicznymi wyjątkami większość położona blisko wybrzeża. Roślinność widoczna z orbity w kolorach od bursztynowego po indygo niekiedy wpadająca w pomarańcz i róż. Ilość dwutlenku węgla i metanu w atmosferze wskazująca na obecność roślinożerców oraz prawdopodobnie zależnych od nich drapieżców. Nieznaczna aktywność wulkaniczna, ale nic, co groziłoby kataklizmem.

Nie za ciepła, nie za zimna.

Nie za duża, nie za mała.

Życiodajna.

Odpowiednia.

Złotowłosa.

Co więcej gwiazda znajdowała się w tak niezwykłym miejscu, z dala od głównych szlaków, że mało prawdopodobne, aby ktokolwiek znalazł tu Jake'a. Cholera, zdał sobie sprawę, że może jest nawet pierwszym człowiekiem, który postawi stopę na tym nieprawdopodobnym świecie.

— Ha! Złotowłosa, jak nic! Niniejszym nadaję ci imię planety jasnego warkocza.

I niejasnych widoków na przyszłość. Ostatnich słów nie powiedział na głos. Po co zapeszać?

Kazał adiutantowi umieścić statek na orbicie nad kręgiem polarnym i ustawić skanery na mapowanie powierzchni planety. Zamierzał zostać tu na dłużej. Może na całe życie. Miał ochotę na tropikalne klimaty, na popołudniowe deszcze łagodzące upał dnia i zachody słońca jak w westernach, które mógłby podziwiać siedząc na werandzie.

Właściwie to miał całą listę życzeń.

— Adiutancie, szukaj żyznej gleby, żebym mógł sadzić owoce i warzywa oraz dostępu do czystej wody, żebym mógł się regularnie kąpać i zbudować koło wodne do napędzania prądnicy. Blisko plaży, żebym mógł żeglować, ale na tyle wysoko, żeby uniknąć zagrożenia ze strony ewentualnego tsunami. Żadnej aktywności wulkanicznej ani sejsmicznej w okolicy, ani miejsc na trasie tornad.

— Przetwarzam — odpowiedziała SI.

— Może jakaś wyspa w okolicach równika. To byłoby miłe.

— Na kontynencie będzie lepszy dostęp do surowców.

— Tak, ale też łatwiej znaleźć się na trasie migrujących gatunków.

Skanery wykryły olbrzymie stada niezwykle przerośniętych stworów, które przemierzały planetę w poszukiwaniu nowych pastwisk... i podążających za nimi stad niemal równie wielkich drapieżników.

— Mieszkanie pośrodku ewolucyjnej autostrady to nienajlepszy pomysł. Nie jestem głupi.

— Nie jest pan — zgodził się adiutant. — Wyniki pańskich testów psychometrycznych są stosunkowo wysokie, zważywszy na pańską impulsywność.

— Zamknij się — rzucił Jake. Nie przybył tu przypadkiem. Myślał o tym od dawna. Decyzja o dezercji zaczęła dojrzewać w jego głowie już 20 minut po tym, jak obejrzał statystyki śmiertelności. Wtedy powiedział sobie:

— Są starzy żołnierze i są odważni żołnierze, ale nie ma starych, odważnych żołnierzy.

Dopiero potem odkrył, że w ogóle nie ma starych żołnierzy. Było to nie tyle przygnębiające, co wprost przerażające. Gdy patrzył na wyświetlane dane, okres jego służby wydał mu się wiecznością, a jedynym spoczynkiem, jaki go czekał, było miejsce jakies sześć stóp pod nieużytkiem, na którym nigdy nie wyrośnie nic poza regularnie rozmieszczonymi kamiennymi nagrobkami.

Jake chciał jak najdłużej wachać kwiatki od góry.

Najpierw sprawdził, które ścieżki kariery miały najniższe statystyki śmiertelności. Pilot zaopatrzeniowy nie plasował się może najlepiej, ale też i nie najgorzej. Robota ta miała za to jedną, ogromną zaletę. Statki kolonizacyjne zazwyczaj przewoziły sprzęt potrzebny do założenia w pełni samowystarczalnej kolonii. To wtedy w jego głowie zrodził się pomysł. Wtedy Jake wybrał ścieżkę kariery. Zajęło mu to siedem lat — siedem przerażających lat — i niejednym raz miał powód, aby wierzyć, że podjął bardzo złą decyzję.

Ale siedem lat... tyle powinien trwać jego kontrakt. Po siedmiu latach służby była możliwość, żeby się wypisać. Niewielu dożywało tego dnia, a tym, którym się to udawało, niemal zawsze przedłużano okres służby powołując się na konieczność uzupełnienia strat. W dniu, w którym przyszła decyzja o przedłużeniu jego kontraktu, Jake postanowił, że już wystarczy.

Splacił swój dług, był wyczerpany i nie miał już sił walczyć. Nie posiadał rodziny, do której mógłby wrócić, wszyscy zginęli w ataku zergów. Zaciągnął się do wojska, kiedy był jeszcze nastolatkiem. Armia obiecywała lepsze perspektywy — żołnierze zawsze o nich marzyli — chociaż wcale tego nie zapewniała. Liczyła się tylko służba.

Jake zaczynał od nawigatora, poprzez drugiego pilota, aż w końcu sam został głównym pilotem. Szkolił się także na oficera, z wszystkimi obowiązkami i przywilejami, które się z tym wiążą. Miał dostęp do informacji — dzięki temu wiedział, że we wszechświecie są rzeczy, o jakich ludziom się nie śniło. Widział wiele różnych światów — żyzne i jałowe, piękne i brzydkie. Wiedział, że kosmos daje możliwości — większe niż wojsko potrafiło przyznać.

Studiował więc mapy gwiazd, astrofizykę i dynamikę solarną. Jego przełożeni zauważyli to pozaobowiązkowe zainteresowanie. Powiedział im, że planuje karierę w sekcji strategicznej i wywiadzie, więc udostępnili mu mapy i bazy danych dotyczące eksploracji kosmosu, wszystkie informacje, które

sondy zgromadziły podczas podróży przez setki tysięcy lat świetlnych we wszystkich kierunkach — wiecznie rosnącą sferę wiedzy.

Jake spokojnie posortował dane dotyczące układów planetarnych według warunków niezbędnych do utrzymania się przy życiu. Niektóre z gwiazd były za duże, albo złej barwy. Niektóre wydzielały za dużo promieniowania. Ale układ z gwiazdą właściwych rozmiarów i o właściwej barwie stanowił idealne miejsce na poszukiwanie „złotowłosego” świata.

Jego przełożeni sądzili, że Jake bada prawdopodobieństwo inwazji zergów. Wyrazili aprobatę, chociaż rój przycichł od czasów Wojny Szczepów. Planowanie długoterminowe było dobrym pomysłem. Nie wiedzieli jednak, co takiego Jake planuje naprawdę.

Właściwa okazja nadarzyła się nieoczekiwanie. Jake nie skupił się na żadnym konkretnym układzie gwiazdnym, nie zawęził kryteriów wyboru. Nadal rozważał możliwości, zarówno na światach odległych, jak i bliskich, i nadal nie określił, jak bardzo będzie musiał się oddalić, zanim pościg za nim przestanie się opłacać.

Lecz wtedy, niespodziewanie, jego konwój został zaatakowany. Wokół wybuchła bitwa. Stojąc samotnie na mostku, zaczął marzyć i rozważać możliwości... zanim zdążył się rozmyślić, zadziałał.

Nie miał czasu na obudzenie kapitana, podniósł plastikową osłonę i walnął pięścią w czerwony guzik. Na okręcie rozległ się alarm, członkowie załogi ruszyli do kapsuł ewakuacyjnych. Po trzech minutach ewakuacja zakończyła się i Jake został ostatnim człowiekiem na pokładzie.

Skierowanie statku na nowy kurs zajęło mu niecałe pół minuty, po czym skoczył w nadprzestrzeń z dala od bitwy. W ferworze walki nikt nawet nie zauważył. Dopiero później, gdy zaczęło się przeglądanie dzienników pokładowych ocalałych okrętów, wyjdzie na jaw, że jeden ze statków kolonizacyjnych zniknął — nie uległ zniszczeniu, tylko po prostu się oddalił. Ale tak stanie się tylko wtedy, gdy ktokolwiek ocaleje z ataku. Jednak na podstawie tego, co Jake ujrzał przed skokiem, raczej się na to nie zanosilo.

Był sam. Był wolny. Był tutaj.

A to była jego Złotowłosa.

Doskonale.

#

Jake pozwolił, aby adiutant trawił liczby i wypluwał dane przez kilka dni, podczas gdy on szykował transportowiec. Nie wiedział, co będzie potrzebne, więc postanowił przygotować się na każdą ewentualność przewidywaną w standardowych scenariuszach lądowania, plus na wszystkie miejscowe atrakcje przewidziane przez adiutanta, szczególnie na sytuację, która nie pozwoli mu wrócić na statek kolonizacyjny.

Rozważał też skierowanie statku wprost w gwiazdę, aby zniszczyć dowody swojego przybycia. Ale nie musiał podejmować tej decyzji jeszcze dzisiaj. Poza tym mogły istnieć jakieś nieznane na razie powody, dla których Złotowłosa okaże się niewłaściwą planetą. W żargonie technicznym nazywano to „niespodzianką”.

Wykluczył już kontynent, jako miejsce do osiedlenia. Za dużo wielkich, głodnych stworów. Ale na zachodzie był archipelag wysp — wystarczająco blisko, aby zachować dostęp do lądu, i dostatecznie daleko, aby zapewnić odosobnienie. Największa z wysp, leżąca na południowo-wschodnim krańcu archipelagu, wydawała się idealna. Miała trójkątny kształt, na każdym wierzchołku znajdował się wulkan — dwa nieczynne. Z trzeciego, największego, ulatywał dym. Stożek wznosił się tak wysoko, że na szczycie znajdowały się pokrywy śniegowe, a nawet lodowce. Topiąca się woda zapewniała całoroczny dostęp do świeżej wody i prawdopodobnie również do gorących źródeł. Tropikalne prądy z południa ogrzewały morze, a wiatr z północy spychał chmury w kierunku zachodnich stoków, gdzie chłodne powietrze niemal codziennie skraplało się w popołudniowy deszcz.

Jake spojrzął na wyspę krytycznym okiem. Na wielkich jak ściana wyświetlaczach roztaczały się niesamowite widoki. Jeśli coś było nie tak, musiał dowiedzieć się już teraz, ale im uważniej się przyglądał, tym bardziej wyspa mu się podobała.

Sondy badawcze odkryły dywan bujnej roślinności pokrywający wybrzeże, smukłe drzewa owocowe i inne, wyższe, o szerokich, dających cień liściach — całe lasy gęsto porośnięte paprociami, trawą, bluszczem i pnączami. Pieniące się wodospady zasilają sieć strumieni i jezior. Na wyspie istniało co najmniej sześć różnych ekosystemów, zależnie od wysokości,

kierunku wiatru i dostępu do wody. Tam, gdzie strefy się stykały, ewolucja wyraźnie przyspieszała. Oznaczało to występowanie zdrowych hybrydowych form życia.

Dodatkowe skanowanie odkryło ptaki i insekty — większe niż te, do których przywykł człowiek, ale nic równie groźnego, jak stworzenia przemierzające kontynent. Występowały tutaj również liczne płazy, gryzonie, a nawet coś, co przypominało miniaturową dziką świnie. W oceanach roiło się od ryb i stworzeń wodnych wszelkich rozmiarów, w tym kilku olbrzymich gatunków. Ale to nie był problem, Jake i tak nie planował pływać w tej kipieli. Na północnym brzegu fale sięgały niemal sześciu metrów. Robiło to zastraszające wrażenie, Jake nigdy nie zamoczył nóg w akwencie głębszym niż wanna.

Nie mógł się zdecydować, jak nazwać wyspę. Pax? Aloha? Szalom? Haven? Wielka Wyspa? Nic nie pasowało. Ale miał czas. Może wyspa sama podsunie mu pomysł na nazwę.

Były przecież inne miejsca, nie zamierzał podejmować pochopnej decyzji. Za długo wszystko planował i za daleko dotarł. Przyjrzał się więc raz jeszcze głównemu lądowi. Zbadał niewielką lagunę na zachodnim wybrzeżu długiego kontynentu, odizolowaną i osłoniętą przez postrzępione klify. Jak również jezioro w kształcie przecinka na wyżynach na północy, z dala od tras migracji zwierząt. A nawet targany sztormami kamienny klif na południowej półkuli, który wyglądał tak niegościnnie, że żadna racjonalnie myśląca osoba nie pomyślałaby nawet, żeby zaglądać w to miejsce. Ostatecznie jednak Jake wrócił do kuszącego archipelagu. Może pewnego dnia zwiedzi kontynent, ale teraz wyspa wydawała się zarówno bezpieczniejsza, jak i bardziej pociągająca.

Jednak nawet po załadowaniu lądowika po brzegi i zaprogramowaniu współrzędnych na zachodni narożnik wyspy, Jake nadal się wahał. Wrócił na mostek, żeby jeszcze raz rzucić okiem, przeskanować okolicę i sprawdzić dane — szukał kolejnego powodu, aby się zawahać.

Spędził na fotelu dowódcy ponad tydzień, bijąc się z myślami, spierając z adiutantem, jedząc kanapki z mięsem karaka i żłopiając kawę kubkami, debatując sam z sobą, rozważając plusy i minusy, wady i zalety, aż w końcu zdał sobie sprawę, że sytuacja nie ulegnie zmianie, choćby nie wiadomo jak

długo nad nią dumał. Może wyspa rzeczywiście była idylliczna, może nie. Na pewno Jake nigdy się nie dowie, jeśli będzie tu siedział i gdybał.

Zastanawiał się nawet, czy nie zawrócić. Jeszcze mógł wrócić, powiedzieć, że oddalił się od konwoju, aby uratować statek przed zniszczeniem. Ale to nie wyjaśniałoby, dlaczego zarządził ewakuację, ani dlaczego nieusuwalne dzienniki pokładowe wskazują, że długo i uważnie badał planetę. Mógłby stwierdzić, że po przybyciu uznał, że warto sprawdzić, czy planeta nadaje się do kolonizacji. Dowództwo by uwierzyło? Pewnie nie.

Nie, Jake już wybrał ścieżkę, którą podąży — zrobił to, gdy wcisnął wielki, czerwony przycisk. Nie uniknąłby sądu wojkowego i prawdopodobnie plutonu egzekucyjnego. Gdyby wrócił, nigdy więcej nie dostałby takiej szansy. Nigdy by się nie dowiedział, jak to by było.

W końcu, zły na siebie, zdał sobie sprawę, że z jego bezczynności nie wynika nic pożytecznego i powiedział na głos:

— Dobra, Jake, siedzenie na tyłku nic nie da. Podnoś tłustą dupę i bierz się do roboty.

Nie, żeby sprawa była pilna. Obecne okienko startowe właśnie się zamykało, ale za dwie godziny otworzy się kolejne i tak co każde dwie. Ale Jake nie miał już nic więcej do roboty na pokładzie. Nie mógł wечно oceniać sytuacji. Musiał działać. Planował tę ucieczkę przez siedem lat. Do tego dążył. Realizował właśnie obietnicę, którą sobie złożył.

Jeszcze zanim to sobie uświadomił, wstał. Ruszył. Wyrzucił resztki posiłku i rozkazał przełączenie statku w stan gotowości, a następnie udał się na pokład startowy. Obejrzał się ostatni raz — jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, będzie ostatnią żywą istotą, która zajrzy na tę jednostkę.

— Do widzenia, Jake — powiedział adiutant. — Zajmę się okrętem do twojego powrotu.

— Tak zrób.

Wszedł na pokład lądownika i ostrożnie wyprowadził go ze statku. Jake włączył jeden z monitorów i patrzył, jak wielki statek oddala się, aż stał się tylko migającym punktem. Ukłuła go myśl, że mógł zrobić więcej, może powinien zrobić więcej, ale nie przychodziło mu do głowy co konkretnie. Jeśli okaże się, że jeszcze czegoś potrzebuje, mógł nakazać zrzucenie ze statku kolonizacyjnego kilku kapsułek ładunkowych.

Miał jeszcze czas, aby zawrócić. Nie musiał lądować. Na pograniczu znajdowało się wiele odległych światów, które z otwartymi rękami przywitałyby w pełni załadowany statek. Jake byłby bohaterem. Przynajmniej na jakiś czas. Dopóki w pobliżu nie przelatywałyby okręt wojenny i któryś z bardziej chytrych osadników nie wydałby Jake'a w zamian za nagrodę. Nie, bezpieczniej po prostu zniknąć.

Pozwolił, aby lądownik minął punkt powrotny i skierował transportowiec na kurs do lądowania. Wkrótce pierwsze pasma powietrza z najwyższych warstw atmosfery zaczęły owiewać kadłub a niedługo potem statkiem wstrząsnęły turbulencje. Starając się ustabilizować lot, Jake wykorzystał gęstniejącą atmosferę, aby wyhamować, jedynie od czasu do czasu korygując kurs silnikami.

Sprawnie zszedł i zbliżył się do wyspy od zachodu, a następnie wyrównał lot tuż nad połyskującą, zieloną powierzchnią oceanu. Jake znajdował się tak blisko wody, że widział poruszające się w niej wielkie, ciemne kształty. Zwolnił lądownikiem tuż przy brzegu.

Piasek na plażach wyspy połyskiwał na złoto i różowo. Brzeg przechodził w szerokie, trawiaste zbocza, które wznosiły się ku położonemu w oddali stożkowi wulkanu. Cała wyspa zbudowana była ze skały wulkanicznej, a w niektórych miejscach warstwa gleby była tak cienka, że drzewa nie mogły zapuścić korzeni. Rosła tam jedynie wysoka trawa, krzewy i paprocie.

W końcu Jake wylądował na płaskowyżu położonym nad zachodnim krańcem wyspy. Uważnie obserwował monitory, gdy czujniki pobierały powietrze i filtrowały je w poszukiwaniu substancji toksycznych oraz groźnych bakterii, grzybów, wirusów lub prionów. Zapewne minie kilka dni, zanim systemy potwierdzą, że Jake może bezpiecznie wyjść z lądownika bez skafandra ochronnego. Kombinezon chronił przed drobnoustrojami chorobotwórczymi aż do klasy szóstej, ale gwarancja ta na nic się zdawała tam, gdzie nie miał do dyspozycji serwisu. Nie. Jake miał zamiar poczekać, aż laboratorium pokładowe zakończy przygotowywanie odpowiednich szczepionek.

Aktywował sondy naziemne i powietrzne, i wypuścił je, aby zbadały wyspę. Nigdzie się nie ruszy bez sporządzenia dokładnej mapy terenu. Mogło to zająć tydzień lub dwa.

Na jego liście kandydatów były inne planety. Niektóre jałowe: miejsca o ledwie zdatnej do oddychania atmosferze, miejsca gdzie terraformowanie jeszcze się nie zakończyło i jedyną formę życia stanowiły glony, grzyby i porosty. Inne widniały na mapach i były zamieszkane, ale Jake martwił się, kto lub co ostatecznie się tam osiedli. Nie, ta planeta przynajmniej obiecywała odosobnienie. Nie będzie się nudził. Miał swoją muzykę, miał elektroniczne książki i miał holofilmy.

Ale nie chciało mu się czekać: wlażł do ERK i zaczął z mozołem przeczesać strefę lądowania, starając się przyzwyczać do otoczenia. Do zachodu słońca zostało tylko kilka godzin, ale wypadało zacząć rozstawiać znaczniki pod obozowisko. Dzięki ERK mógł oczyścić teren, zainstalować kamery i światła oraz rozmaite czujniki, wyznaczyć obwód bezpieczeństwa, a nawet rozstawić kilka automatycznych wieżyczek. To ostatnie prawdopodobnie nie było konieczne, ale zalecane przez standardową procedurę. Wątpił, czy działka będą kiedykolwiek potrzebne na coś większego niż skorpion czy komar. Mimo wszystko... dokonał starannych przygotowań i zachował ostrożność. Miał zbyt głęboko zakorzenioną, typową dla wojskowych paranoję, aby odpuścić.

Trzeciego dnia zbudował hangar na lądownik: wskoczył do ERK, wyładował materiały, zespawał prefabrykowane ściany, rozstawił je i przykrył dachem. Wepchnął statek do środka i zamknął drzwi. Następnie zasnął na osiem godzin, gdy kamery i wieżyczki automatyczne pilnowały obozu.

Obudził się w środku nocy.

Prawie nagi, jedynie w szortach i ze strzelbą SR-8 „Nawałnica” z lunetą na podczerwień, wyszedł i spojrzął w ciemność. Rozwieszane wokół lampy miękko rozświetlały teren obozu na niebiesko. Dalej był jedynie głęboki fiolet i czerń dżungli. Na niebie jasno świeciły gwiazdy i powoli przesuwał się największy z trzech księżyców planety. Jake podniósł broń, zerknął przez lunetę i ostrożnie zaczął się obracać szukając źródeł ciepła. Nic.

Cokolwiek słyszał, teraz ucichło.

Był to wrzask... wydany przez jakąś istotę. Może ptaka? A może nawet jedno z oceanicznych stworzeń, które na chwilę wypłynęło na powierzchnię? Może przez to świniopodobne zwierzę? Może żyły tutaj drapieżniki, które na nie polowały? Logika sugerowała, że tak powinno być. Ale logika ograniczała się do znanych faktów, ograniczonych jednak przez dostęp do technologii niezbędnej do ich badania, a tej Jake miał raczej w niedoborze niż nadmiarze. Istniało stare porzekadło mówiące o nowych obcych światach: są dziwne. Nie tylko dziwniejsze niż sobie wyobrażamy. Dziwniejsze niż *umiemy* sobie wyobrazić.

Przez długi czas Jake stał w ciemności nasłuchując. Potem wrócił do środka, usiadł przed monitorami i zaczął odtwarzać dźwięki nocy. Większość nagrań zawierała nic nie znaczące odgłosy tła — szum fal, wiatru i liści. Ale krzyk? Nie było go.

Słyszał go tylko we własnej głowie.

Ale słyszał na pewno. Wiedział to. Był pewien.

Siedział dłużyj czas przed monitorami obserwując teren. Wypuścił trzy sondy, aby okrążyły obszar.

I zadrżał.

Wrzask, który dzisiaj usłyszał — to był pierwotny, gardłowy ryk nagle przerwanej świadomości. Jake nie rozpoznawał go, nie rozumiał, nie wiedział, co go wydało... Ale rozpoznał to ukłucie w głowie. Już je kiedyś poczuł. Nie ten sam krzyk, ale podobny.

Istniały opowieści o istotach po drugiej stronie sektora posiadających dziwne moce psioniczne. Były też inne historie, jeszcze bardziej niepokojące, o ludziach wcielonych do wojska i szkolonych na telepatycznych wojowników. O duchach. Nigdy nie spotkał żadnego z nich. Oficjalnie nie istnieli, ale wiedział, że to prawda. Doświadczył kiedyś przypadkowego wybuchu psionicznego. Zdarzyło się to podczas pewnej ściśle tajnej operacji transportowej.

Było to na początku jego kariery, gdy dopiero zaczynał jako oficer trzeciej klasy. Ale na wielkim, czarnym okręcie bez nazwy pilnie potrzebowano załogi, a Jake posiadał odpowiednie uprawnienia. Nikt nie powiedział mu nic o misji, ale i tak wszyscy wiedzieli, że lecą do akademii duchów na Ursie, księżycu Tarsonis. Nikt także nie wspominał o telepatce w

ekranowanej kabinie, wszyscy jednak wiedzieli, że na pokładzie w ekranowanej kabinie znajduje się telepatka.

Kimkolwiek była, nie opuszczała kwater i przez całą podróż trzymała się z dala od reszty załogi. Jednak pewnej nocy przyśnił jej się koszmar i bez żadnego ostrzeżenia jej telepatyczny krzyk ogarnął cały okręt, powalając wszystkich na kolana. Kobiety i mężczyźni padali, jak muchy, mdleli, wymiotowali, dostawali drgawek, mimowolnie opróżniali pęcherze i jelita. Eskorta telepatki, jeden zwykły osiłek, nawet się nie zawahał: bez słowa wstał od stołu do pokera i wybiegł z mesy. Później okazało się, że nosił pewien wynalazek nazywany ekranem psionicznym, który osłonił go przed oddziaływaniem krzyku. Załoga statku kosmicznego nie miała takiej ochrony. Powoli i w bólu odzyskiwali świadomość. Po wybuchu psionicznym pozostał szok, dezorientacja i osłabienie.

Ochroniarz odurzył podopieczną na resztę podróży. Nie pozostała żadna oficjalna wzmianka o incydencie, ale kapitan po cichu dał do zrozumienia, że telepatka była dopiero nastolatką i nie panowała w pełni nad swoimi zdolnościami.

Jednak krzyk wdarł się w duszę każdego członka załogi — pierwotna, brutalna siła wybuchu zraniła ich psychikę, pozostawiła w niej trwałe ślady i wyczuliła na najmniejsze zmiany energii psionicznej.

Jake nie wiedział, jaki koszmar przyśnił się telepatce, jakie wspomnienia ją nawiedzały, jaka groza jawiła się w jej umyśle. I choć nie spotkał żadnego zerglinga, z pewnością miało to z nimi coś wspólnego. W następstwie tej psionicznej chwili grozy, jego umysł zaczęła wypełniać kotłowanina dziwnych i straszliwych uczuć, jakby ktoś zaatakował i wtargnął do jego umysłu. Miał wrażenie, że w jego mózgu zostały wypalone nowe, fałszywe wspomnienia, nie należące do niego, ale mimo wszystko wspomnienia o wrzuceniu do jamy ze śliniącymi się, chroboczącymi i bezmyślnymi insektoidami.

Sam lekarz okrętowy, który zamienił się w trzęsący się wrak, ostrzegł załogę, że pamięć o tej chwili może wyczulić część z nich na telepatyczne przekazy, ale w tym wypadku było to niedopowiedzenie. Zanim statek dotarł do celu podróży, trzech członków załogi popełniło samobójstwo.

Jake nie miał tyle szczęścia. Przeżył podróż. Z otwartym, niezaleczonym umysłem, czuł się jak kaleka. Był emocjonalnie chwiejny, czuł kotłowaninę

myśli ludzi wokół siebie. Niewyraźne, ciągle grzechotanie zagubionych impulsów na wpół ukształtowanych, niekompletnych uczuć — strachu, żalu, złości, smutku, pogardy, zbyt częstego pożądania i pragnienia oraz dziwnych, czarnych myśli. Zgiełk przychodził powoli i falami, raz wzrastał, raz opadał — czasami był najstraszniejszy, gdy wszyscy spali i śnili — ale nigdy nie ustępował na tyle, aby dało się go ignorować.

To wtedy Jake obiecał sobie, że ucieknie. Musiał znaleźć miejsce, w którym znów zazna ciszy i spokoju, miejsce bez ludzi.

Ale ten krzyk...? Tu i teraz? Nie był ludzki. Tego Jake był pewien. Należał do czegoś innego. Do czegoś, co mogło być zwierzęciem, insektem, bezmyślnym stworzeniem lub nawet półbogiem. Czymkolwiek to było, przykuło jego uwagę.

Jake wstał wcześniej, przed wschodem pomarańczowego słońca. Ubrał się w lekki pancerz bojowy, wziął zmodyfikowany AGR-14 i na poczekaniu przerobiony hełm z zamontowanym w wizjerze HUD-em. Długie godziny podróży do tego świata spędził na modyfikowaniu każdego denerwującego go elementu wyposażenia. Czyli prawie wszystkiego. Wsiadł na sępa, przypiął się pasami, wziął głęboki oddech i rzucił do siebie:

— Dobra. Jedziemy.

Sęp idealnie nadawał się do rekonesansu i patrolowania — lekko opancerzony, jednoosobowy motolot zaprojektowano tak, aby był szybki i niezawodny. Modele kolonizacyjne mogły latać do kilometra ponad poziomem morza i osiągać prędkość 370 kilometrów na godzinę. Jake załadował trzy na pokład transportowca, plus części zapasowe.

Przez sześć dni przeszukiwał wyspę, wsłuchując się w każde chrobotanie, które mogło należeć... cóż, do tego czegoś, co wrzasnęło owej nocy. Sześć nocy patrolował niebo, przeczesując roślinność palcami niebieskiego światła. Nic.

A siódmego dnia odpoczął. Wylądował sępem przed hangarem i zauważył, że pierwsze pędy bluszczu zaczęły już wspinać się po poszyciu. W ciągu kilku miesięcy obrosną cały hangar, zakrywając go gęstymi, czarnymi pnączami i jeszcze gęstszym dywanem niebiesko-czarnych liści. Będzie to dobry kamuflaż przed ciekawskimi spojrzeniami.

W poniedziałek Jake dwa razy sprawdził ogniwa paliwowe sępa i znowu wzbił się w powietrze. Miał zamiar wrócić na północny skraj wyspy i zbadać stoki najwyższego wulkanu. Góra wyrastała ponad horyzont niczym ogromna wieża. 90% grawitacja planety sprawiała, że wszystko było tutaj większe, wyższe, ogromne. Wydmy i fale sięgały wyżej, ponieważ kąt między planetą a jej księżycami był większy. Góry były bardziej strzeliste i postrzępione. Stożki wulkaniczne o niemal pionowych zboczach pięły się ku niebu. Owady i zwierzęta również były większe. Intensywne upały za dnia sprawiały, że tutejsze formy życia szybciej się ogrzewały i dłużej zachowywały ciepłość. Oprócz tego, bogata w tlen atmosfera również sprzyjała stworzeniom o większych rozmiarach — optymalną wielkością był rozmiar piłki futbolowej. To jednak skrajności budziły niepokój. Największe zwierzęta osiągały wielkość boiska futbolowego. Na szczęście wyspy tego archipelagu nie były dość duże, aby zapewnić przetrwanie choćby niewielkiemu stadu ogromnych roślinożerców, które przemierzały główny ląd.

Dodatkowo, uformowany przez aktywność wulkaniczną teren był pełen stromości i nierówności. Nie sprzyjał migracji ani nawet spokojnej eksploracji. Bez sępa większość terenów byłaby dla Jake'a niedostępna. Istniały tu miejsca, których nie mógłby zobaczyć, cechy terenu, których by nie odkrył.

A w szczególności...

Oba uśpione kratery były usiane korytarzami po lawie, naturalnymi tunelami uformowanymi przez strumienie stopionej skały. Gdy jej strumienie wylewały się, krawędzie tuneli utwardzały się pozostawiając długie szyby z czarnej skały wulkanicznej. Kolejne erupcje nadbudowały tam grube pokrywy. Większość tuneli była dostatecznie szeroka, aby pomieścić lądownik. Gdyby Jake wiedział o nich wcześniej, nie musiałby stawiać hangaru. Szyb wulkaniczny zapewniłby lepszą osłonę. Jeśli byłby dostatecznie głęboki, mógłby nawet służyć za bunkier. Jake postanowił zbadać to dokładniej, ale najpierw musiał znaleźć źródło psionicznego krzyku.

Po kolei.

Od czasu do czasu Jake zatrzymywał pojazd, aby wypuścić kolejną sondę, która po cichu i cierpliwie badała otoczenie, obserwowała, nasłuchiwała i wysyłała dane do obozu. Część sond badała teren aktywnie, część przechodziła w stan czuwania i budziła się jedynie wtedy, gdy coś

zakłóciło spokój. Jeśli na tej wyspie istniało coś trudno wykrywalnego, Jake i tak to znajdzie. Nawet jeśli nie od razu, to w końcu się uda.

Popołudniu Jake zauważył, że na północy horyzont pociemniał. Od czasu do czasu między niebem i morzem przemykały błyskawice.

— Szlag — wycedził na głos.

Zapomniał o jednej z pierwszych reguł we wszystkim: nie angażuj się w to, co robisz tak bardzo, żeby zapomnieć, co robisz. Zapomniał, aby zwracać uwagę na wskaźniki atmosferyczne.

Zagrożenie zbliżało się nieuchronnie. Szeroka ściana szkwału pędziła z niesamowitą szybkością. Wszystko na tym świecie przekraczało standardowe rozmiary, do jakich przywykł człowiek. To też nie był zwykły sztorm, tylko super-burza. Nie ma mowy, żeby Jake zdążył wrócić do bazy, zanim nawałnica uderzy w wyspę. Musiał znaleźć inne schronienie i przeczekać.

W pierwszej chwili pomyślał, żeby skryć się za wulkanem, po zawietrznej, ale od razu zdał sobie sprawę, że gdy sztorm dotrze na drugą stronę krateru, Jake będzie równie bezbronny w starciu z żywiołem jak teraz.

Nie, była też inna możliwość. Skierował sępa do najbliższego korytarza po lawie. I tak planował kiedyś zbadać większe tunele. Nie zdawał sobie sprawy, że ten dzień nadejdzie tak szybko.

Burza nie była aż tak nieoczekiwana. Dane wskazywały, że na planecie mogą panować ekstremalne warunki pogodowe, ale bez długoterminowych badań prądów powietrznych i wzorów pogodowych Jake nie mógł stwierdzić, jak często zdarzają się super-burze. Planeta potrzebowała ery lodowcowej, aby ostudzić klimat. Cały ten skwar — ten sam, który powodował, że atmosfera była bogata w tlen i sprzyjała rozwojowi olbrzymich form życia — sprawiał również, że woda w oceanach parowała na ogromną skalę, a straszliwe wichury pchały nasycone wilgocią chmury w kierunku gór. To była nie tylko super-burza, to był sztorm doskonały, kolosalnych rozmiarów huragan zmiatający wszystko na swojej drodze.

Zanim Jake dotarł do tunelu, wiatr wzmógł się już na tyle, że ciężko było kontrolować sępa. Wejście do jaskini okazało się dziurą w stromym, pionowym klifie, częściowo zablokowaną przez zwisającą roślinność. Niebo już pociemniało, w wyspę uderzyły pierwsze błyskawice, a ciężkie krople zaczęły bić o karoserię pojazdu. Jake mocno chwycił stery i przeprowadził

sępa przez pnącza. Gdy tylko znalazł się poza zasięgiem wiatru, mógł pozwolić, aby pęd pchał go w głąb korytarza. Wystarczyły mu małe korekty toru lotu. Reflektory rozświetlały mrok, ujawniając jedynie gładkie ściany obsydianu. Miriady odbić lśniły i połyskiwały na ciemnym, wulkanicznym szkłe.

Po pięćdziesięciu metrach Jake pozwolił, aby pojazd osiadł w tunelu. Powinien znajdować się wystarczająco głęboko. A nawet jeśli nie, zawsze mógł udać się głębiej do wnętrza góry. Nie miał pojęcia, jak daleko ciągnął się korytarz, ale czujniki sępa pokazały, że przynajmniej przez kolejne kilkaset metrów, prawdopodobnie dalej. Więcej ciężko było stwierdzić na podstawie dostępnych danych.

Jake zszedł z motolotu. Podniósł wizjer hełmu i wziął głęboki oddech. Powietrze było już wilgotne. Nawet tak głęboko od wylotu czuć było wyraźny przeciąg. Wejście lśniło kręgiem światła, które powoli zaczynało ciemnieć, raz na jakiś czas błyskało od uderzeń niewidocznych z tunelu błyskawic. Jake podszedł na tyle blisko, aby poczuć rozpryski wody. Lało już tak mocno, że woda ściekała po ścianach tunelu. Wlewała się szybciej niż się wylewała. Jake zaczął się zastanawiać, czy nie powinien przenieść sępa w głąb, ale gdy podszedł w górę zauważył, że woda nie sięgnie tak daleko. Znajdował się w bezpiecznej odległości od żywiołu.

— Szlag by to. Tego nie planowałem.

Otworzył tylny bagażnik sępa i sprawdził stan zaopatrzenia. Wody i pożywienia wystarczy na trzy dni, może tydzień, jeśli będzie oszczędny. Niepotrzebny mu namiot, ale karimata będzie wygodniejsza od gołego podłoża. Jeśli zachowa ostrożność, apteczka nie będzie konieczna. Sprawdził kontener z uzbrojeniem — arsenał załadowany i w gotowości. Jake wątpił, żeby potrzebował tutaj broni. Albo raczej miał nadzieję, że nie będzie jej potrzebował.

— Niczego nie zakładaj — napomniał się. — Czerwie tunelowe... Wystarczy jeden, żeby popsuć ci dzień.

Zastanowił się nad AGR-14 — nie była to lekka broń, ale za to skuteczna, magnetycznie przyspieszała pociski do ponaddźwiękowych szybkości i wydawała przy tym zastraszający huk.

— Przewrotny żyje dłużej — zdecydował. Wziął AGR-14 i dwa dodatkowe pasy amunicji. Po namyśle zabrał jeszcze sznur granatów zapalających. Na wszelki wypadek.

Włączył latarkę i skontrolował zasilanie. Dwa razy sprawdził wyświetlacze zainstalowane w wizjerze hełmu — pozwalały monitorować rezerwy energii, systemy, bioskanery i stan sępa, gdyby musiał się w pośpiechu ewakuować. Wszystkie wskaźniki świeciły na zielono. Jake nie cieszył się na myśl o konieczności ucieczki. Wątpił, aby w tunelu znajdowało się cokolwiek groźniejszego od szalejącego na zewnątrz huraganu, ale wołałby nie przekonywać się na własnej skórze, czy ma rację.

Rozpoczął wędrówkę w górę. Korytarz po lawie miał wyraźne nachylenie, ale możliwe do pokonania. Jake pomyślał, że przy grawitacji równej 0,9 g lawa powinna płynąć wolniej, ale przez stromiznę tunelu działa się na opak. Pierwsze skanowanie ujawniło całą sieć korytarzy. Najwyraźniej, gdy stożek wulkaniczny rósł, tunele formowały się jeden na drugim, zakręcające i wijące się jak nitki spaghetti. Badania nad procesami ich powstawania uszczęśliwiłyby pokolenia geologów.

Jego kroki odbijały się echem od gładkich ścian niczym w metalowej kabinie prysznicowej. Jeśli cokolwiek żyło w tunelu, usłyszałoby go na długo, zanim Jake by do tego dotarł. I vice versa...

Od czasu do czasu przystawał, aby nasłuchać. Daleko w tyle nadal szalała burza. Blask bijący od wylotu tunelu znikł. Nie widać już było nawet błysków, choć od czasu do czasu pojedyncze pomruki przebiegały przez górę. Błyskawice na zewnątrz musiały uderzać ze straszliwą siłą.

Innych dźwięków jednak nie słyszał. A przynajmniej nie uszami. Jednocześnie zaczął odczuwać niepokój i kłucie w dołku, nienazwane wrażenie, które przypominało lęk czy wręcz głód, ale jakby głębsze.

Pośliznął się. Zaświecił latarką pod nogi. Luźne skały. To nie miało sensu. Ale zauważył też strumyki wody. Góra musi być usiana szczelinami, powoli erodowała od środka. Burze przez setki lat wyźłobiły cały system kanalików.

Jake rozważył możliwości. We wnętrzu wulkanu można by było ukryć całą bazę wojskową, fabryki, koszary, arsenały. Wzdrygnął się na tę myśl.

Właśnie przed tym starał się uciec — przed bezmyślnością i ciągłą gotowością do walki.

Tunel zaczął piąć się bardziej stromo. Od czasu do czasu Jake musiał się zatrzymać, żeby złapać oddech. Musiał też uważać, gdzie stawia kroki. Mimo ostrożności nastąpił na coś i poczuł skrobanie pod butem. Usłyszał metaliczny zgrzyt.

Spojrzał w dół.

Kawałek metalu zaśnił na złoto. Nawet jaśniej niż złoto. Bił od niego blask równie piękny, co nienaturalny. Z pewnością był to odłamek, ale chyba nie do końca metaliczny.

Najpierw pomyślał, że to ostrze noża, a nawet miecza, ale przedmiot miał zbyt mocną krzywiznę. Jake pochylił się, żeby przyjrzeć się lepiej. Szturchnął stopą. Przykucnął robiąc głośny wydech i przyjrzał się obiektowi z nieukrywaną irytacją. Nie z powodu samego istnienia znaleziska, lecz tego, co to oznaczało.

Niepewnie dotknął przedmiotu ze świadomością, że może to być jakieś urządzenie, które tylko czeka, żeby je aktywować. Wyglądało jak ułamany ogonek łezki.

— Szlag, szlag i jeszcze raz szlag.

Usiadł i zaczął badać obiekt, żałując że znalezisko nie jest czymś innym i nie znajduje się gdzie indziej. Gdyby nie burza, Jake by uciekł. Pognałby do obozu, załadował sprzęt na transportowiec i wrócił na statek kolonizacyjny. Już nawet zaczął planować ucieczkę. Musiał opuścić wyspę, planetę, układ.

Jake rozpoznał przedmiot. Wiedział, co to jest. Widział coś podobnego w muzeum reliktywów wojskowych. Nie tę samą rzecz, ale podobny rodzaj nie-metalu. Ten sam intensywnie żółty, perłowy kolor. Ten sam blask. Brak rdzy, nadżerek, zadrapań czy przypaleń. Był tylko ułamany fragment czegoś, co się wygięło i pękło pod wpływem siły.

Protoski metal.

Jake nie był sam.

Zmusił się do głębokiego wdechu. Policzył do dziesięciu. Do dwudziestu. Do stu osiemdziesięciu. Może wyciągał pochopne wnioski. Może istniało inne wyjaśnienie. Metal protosów nie ulegał rozpadowi ani korozji. Może ten

fragment leżał tu od lat, stuleci — może tysiącleci. Może protosi odwiedzili to miejsce, nie znaleźli niczego interesującego i odlecieli.

Jake podniósł lśniący odłamek i przyjrzał się, obracając go w ubranych w rękawice dłoniach. Nie. To nie zostało tutaj porzucone. Zostało wykręcone i złamane, jak artefakty w muzeum wojskowości. Tylko, że ten fragment miał głębokie rysy i ubytki wzdłuż jednego z boków. Ślady, które wyglądały jak zadrapania od szponów lub kłów.

— Potrójny szlag — rzucił Jake na głos. — To już potrójny. Nie jestem tutaj sam. Protosi tu byli. I przegrali walkę z czymś innym, co również tu jest.

Kolana zaczęły go boleć od kucania. Wyprostował się nadal trzymając nie-metal. Mógł kontynuować podróż w głąb wulkanu... lub wrócić do sępa i zmierzyć się z super-burzą. Albo mógł siedzieć tutaj, sparaliżowany bezczynnością — tą samą, która przez tydzień trzymała go na statku kolonizacyjnym, zanim w końcu Jake postanowił wylądować na powierzchni planety.

Jeśli wróci, nigdy nie dowie się, jakie zagrożenia czyhają we wnętrzu góry ani co było źródłem nocnego krzyku. Jeśli ruszy dalej... cóż, przynajmniej się dowie, z czym ma do czynienia i czy zostać, czy się ewakuować.

O ile przetrwa to spotkanie.

— Szlag — powtórzył Jake. Były inne słowa, których mógł użyć, ale to wydało mu się najodpowiedniejsze.

Kolejne kilka metrów, po których musiał się wspiąć, było strome, ale nagle tunel wyrównał się i otworzył na ogromną komorę. Latarka rzucała w mrok snop niebieskiego światła. Podłogę pieczary pokrywały kamienie i głazy, kopuła lśniła, ale nie to zwróciło jego uwagę.

Odbyła się tutaj walka. Ściany jaskini były przypalone, a na ziemi leżały rozrzucone fragmenty nie-metalu. Większość złota, cześć srebrna. Jake nie nazwałby się ekspertem od technologii protosów, ale wydawało mu się, że rozpoznaje niektóre ze srebrnych fragmentów: to mogły być ułamane odnoża czegoś, co nazywa się tropiciele. Inne odłamki, jasnożółte, mogły pozostać po machinach wojennych zwanych nieśmiertelnymi.

Powinien poczuć fascynację, a nawet przejęcie na widok protoskich machin wojennych, ale nie czuł. Widok metalowej jatki wzbudził w nim tylko

niepokój. Sugerował — nie, jasno dowodził — że na tym świecie żyje coś paskudnego, co jest w stanie rozerwać na strzępy opancerzonych protosów.

— Szlag — zaczął swoją mantrę Jake. — Szlag, szlag, szlag.

Według danych na wizjerze ze wszystkich słów, które wypowiedział od lądowania, tego używał zdecydowanie najczęściej.

Odpiął konsolę przytroczoną do pasa i posłał chmurę mikro-szpiegów do wielkiej komory. Malutkie, napędzane odrzutowo urządzenia, produkty umojańskiej technologii, słono go kosztowały na czarnym rynku, był jednak pewien, że pewnego dnia się przydadzą. Miniaturowe maszyny zaczęły powoli krążyć, skanując, mierząc, nasłuchując...

...aż na przeciwległym krańcu jaskini pojawiła się jasnoniebieska wiązka, która przeskakując z jednego mikro-szpiega na drugiego zniszczyła je w nawałnicy oślepiającego światła.

Jake skoczył w cień, wiedząc, że to i tak nic nie da. Cokolwiek właśnie zniszczyło urządzenia, na pewno już obrało również jego za cel. Nawet gdy poczuł pierwszy zastrzyk adrenaliny w sercu, zdał sobie sprawę, że żyje tylko dlatego, że to coś *chciało*, żeby żył.

Wziął głęboki oddech, drugi, trzeci... i wystąpił naprzód. Ucieczka to najgorsze, co mógł zrobić.

Po drugiej stronie jaskini, gdzie znajdował się kolejny tunel — a może była to kontynuacja tego z tyłu — zamigotało. Coś wysokiego. Coś humanoidalnego.

Jake pojął od razu, że ma ogromne szczęście... a jednocześnie ogromny niefart. Należał teraz do nielicznego grona istot ludzkich w tym sektorze, które nawiązały kontakt z protosami. Podobnych ludzi było niewielu, ponieważ większość z tych, którzy stanęli twarzą w twarz z protosem, nie przeżyła takiego spotkania.

— E, cześć — odezwał się nieśmiało i podniósł prawą rękę w uniwersalnym geście powitania.

#

Lassatar uważnie przypatrywał się stworzeniu naprzeciwko. Był świadom jego obecności na planecie od dnia, w którym przybył. Teraz, tutaj, w tej pieczarze, nareszcie mógł się przyjrzeć intruzowi.

Człowiek. Obleczony prymitywną technologią. Uważał się za potężnego. Wokół pierwotnych instynktów — głównie strachu — wiła się namiastka myśli. Zaledwie biologiczny imperatyw, zmierzający, może nawet aspirujący, do prawdziwego myślenia. Ludzie — organiczne maszyny napędzane przez nieskładną kotłowanąinę głodu, strachu, gniewu i niejasnych, niezręcznych pragnień.

Stworzenia te pragnęły intymności, lecz bały się więzi z innymi przedstawicielami swojego gatunku. Pragnęły wiedzy, lecz bały się prawdy. Pragnęły zmian, lecz bały się działać. Pragnęły pokoju, lecz obawiały się śmierci.

Pragnęły świadomości, były głodne światła, które ledwie wyczuwały, ale bały się porzucić zwierzęcą naturę, która więziła je w klatce emocji. Nie tyle działały, co reagowały.

To wszystko i mniej.

Odkrycie przez ludzi technologii nadprzestrzennej świadczyło nie tyle o wrodzonej inteligencji tych istot, lecz o tym, jak łatwy do poznania jest ten wszechświat. Gatunek ludzki nie zakończył jeszcze swojej ewolucji i prawdopodobnie nigdy tego nie dokona. Zniszczy się sam, zanim zyska szansę, aby osiągnąć wyższy stan istnienia.

Niemniej jednak, czysta pasja tych istot dawała im przerażające zdolności. Ludzie potrafili tworzyć z równie wielkim zapałem, co niszczyć. Nie byli bezmyślni. A dla tego mrocznego templariusza to, kim mogli się stać, wydawało się fascynującym zagadnieniem, które zasługiwało, aby poświęcić mu ogromną uwagę.

Jeśli dzielisz galaktykę z inną formą życia, jest ona albo twoim partnerem, albo zmorą. Nie ma neutralności. Jeśli jakiś związek nie jest oparty na obopólnych korzyściach, to alternatywą pozostaje tylko wieczny konflikt i zniszczenie. Życie jest nieuchronne. Zasoby są skończone. Cała reszta to ćwiczenia dla niewprawnych umysłów.

W krótkim czasie, jaki upłynął od zniszczenia mikro-szpiegów do podniesienia przez istotę ręki w powitalnym geście, Lassatar rozważył tysiące możliwości. Ciekawość przeważała.

Miał już styczność z ludźmi, większość tych spotkań kończyła się brutalnie, ale przypadkowe zetknięcie na nic nie znaczącym świecie kazało mu się zastanowić nad potencjałem świadomości u tego nieukształtowanego gatunku. Czy ich prymitywny i agresywny umysł można wyszkolić? Czy da się wynieść te istoty na wyższy poziom? Czy mogą nauczyć się większej odpowiedzialności za technologię, którą tworzą? Czy może są niczym ogromni roślinożercy — ślepy m zaułkiem ewolucji, skazanym na zagładę przez własną, biologiczną potrzebę żywienia się i bycia pokarmem, bez prawdziwej zdolności zrozumienia swego udziału w procesach czasu?

Istota stojąca teraz przed nim...

Lassatar rozpoznał w niej ciekawe pokrewieństwo.

Podobnie jak on, człowiek postanowił oddalić się od swojego ludu. Ludzie często tak robili, często bez wyraźnego powodu.

Na pierwszy rzut oka zachowanie to nie miało żadnego sensu, ani ewolucyjnej wartości. Samotna jednostka oddzielona od swojego plemienia, stada, rodziny, miała znacznie mniejsze szanse przetrwania. Nawet technologia rzadko dawała dostateczną ochronę przed żywiołami wszechświata. A gdy ktoś wędrował samotnie, bez partnera płci przeciwnej i możliwości reprodukcji, działanie to było bezcelowe z biologicznego punktu widzenia.

Ale nawet jeśli wartość ewolucyjna takiego zachowania nie od razu stawała się wyraźnie widoczna, to nadal musiała istnieć. W przeciwnym razie zachowanie takie przestałoby występować i zostało porzucone przez gatunek. Najwyraźniej istniała ważna dla przetrwania i dla puli genów wartość, która sprawiała, że opłacało się, aby część przedstawicieli gatunku poświęcała się eksploracji i odkrywaniu. Postępowanie to mogło się sprawdzić jako sposób na osiągnięcie wyższej świadomości u gatunku — metoda rozwoju wyższego stanu świadomości. Mógł to być nawet rodzaj ewolucyjnego przełomu na miarę wyprostowanej sylwetki czy korzystania z narzędzi.

Przyszłość ludzkości należała do kwestii, które często rozważali protoscy mędracy. Ludzie stanowili ciekawą anomalię, gatunek stojący u progu

wielkich możliwości, uwięziony między szalejącymi popędami a szansą zyskania prawdziwej świadomości. Ludzkość stanowiła zagadkę dla samej siebie. Rozwiązanie może okazać się interesujące, ale nie było jeszcze warte, by poświęcać mu więcej uwagi — nie dopóki całkiem nie zostanie wyeliminowane zagrożenie ze strony zergów. Niemniej jednak, każde spotkanie to kolejny element rosnącej struktury myśli.

Lassatar był strażnikiem tajemnic, obrońcą starożytnych sekretów, a swój obowiązek uważał za święty. Więcej — uważał, że go określa. Lassatar czuł, że jego służba wymagała, aby stał się żywym wcieleniem dziedzictwa protosów — nie wystarczyło wypełnienie roli opiekuna, miał stanowić pomost łączący z mocami i zdolnościami z przeszłości.

Wierzył, że tajemnice i sekrety pradziejów były ważne i że miały ogromne znaczenie dla żyjących dziś protosów. Życie to zmiana. Pierwsi protosi o tym wiedzieli — nie tylko w teorii, ale również w praktyce.

Życie ewoluuje. Przekształca się. Pokonuje granice i przystosowuje do wszelkich panujących wokół okoliczności. Dla wyższego umysłu, procesy te były piękne, okrutne i potężne. Dla wyższego umysłu — takiego, który myślał w kategoriach tysiącleci — ewolucja była narzędziem, a pierwsi przedstawiciele ludu protosów korzystali z niego z wprawą. Ćwiczyli stosowanie presji ewolucyjnej, aby utrzymać i kontrolować środowiska światów, które zdobywali. Często zdarzało się, że wynosili całe ekosystemy ze stanu pierwotnego do ustabilizowanego.

Gdy studiował prastare procesy, Lassatar zastanawiał się, jak te tajemnice zastosować dzisiaj. Na przykład, czy ludzi można było wynieść na wyższy poziom, prawdziwej świadomości? Czy staliby się użytecznymi towarzyszami broni w wojnie przeciw zergom?

Interesujące pytanie, ale żaden protoski autorytet nie był skłonny poświęcić więcej czasu na rozważania, a co dopiero na znalezienie odpowiedzi. Ludziom nazbyt często zdarzały się niekontrolowane wybuchy emocji i przemocy. Nawet prawdziwa świadomość nie usunęłaby tego rdzenia ich jestestwa. Wyniesienie ludzkości mogło doprowadzić do powstania bardzo groźnego gatunku, który stanowiłby zagrożenie nawet dla protosów. Za wielkie ryzyko.

Poza tym to nie kwestia, jaką Lassatar mógłby zająć się sam, bez naruszania godności swojego urzędu. Był jedynie strażnikiem tajemnic, nie ich dysponentem. Niemniej jednak... pewne nietypowe zdarzenie zmusiło jego myśli, by pobiegły innym torem.

Szukał ważnego reliktu, artefaktu xel'naga. Znalazł go blisko osady samotnego człowieka. Natrafił tam też na ludzkie dziecko. Istota odznaczała się zaskakującą dawką niewinności i wspaniałości — cech, które nie uwidoczniły się podczas żadnej z poprzednich konfrontacji ludzi z protosami.

Lecz jeśli jedna niedojrzała istota ludzka była tak zdolna, co mówiło to o nich wszystkich?

Lassatar doskonale zdawał sobie sprawę, że ludzie nie osiągnęli jeszcze prawdziwej świadomości, nawet jej namiastki. Na skali samoświadomości znajdowali się niewiele wyżej od insektów. Byli niewolnikami własnej fizyczności, kontrolowanymi przez chemię w mózgach, napędzani przez własne burze hormonalne. Byli ofiarami okoliczności, w wir których rzucono ich od poczęcia. Istotami oszołomionymi i reagującymi na impulsy — prostymi i przewidywalnymi maszynami organicznymi. To, że ich mózgi rozwinęły zdolności do racjonalizacji, było ewolucyjnym wypadkiem — wciąż niedokończonym procesem.

Ale spotkanie z małą samiczką i jej ojcem, który zamienił się z brutalnej istoty w kochającego i pełnego współczucia obrońcę, wprowadziło Lassatara w zdumienie i wzbudziło ciekawość.

Współczucie i empatia były wyrazem bezinteresowności wobec innych, kluczowym składnikiem świadomości, oznaczały wyczulenie na istnienia inne poza swoim. Był to mały krok, ale może najważniejszy. Ujawnienie tego potencjału u ludzi wymagało zbadania. Pojawiło się też kolejne pytanie. Dlaczego ta zdolność zanikała u ludzi wraz z wiekiem? Dlaczego nie dojrzewała razem z osobnikami? Czyżby to było źródło porażki gatunku na drodze do osiągnięcia pełnej świadomości?

Lassatar pozostawił to pytanie swym akolitom, gdy sam rozważał naturę artefaktu xel'naga. Niewiele wiedziano na temat tego obiektu, a jego reaktywacja mogła nieść poważne ryzyko. Zadania nie należało traktować lekko.

Kazał więc swoim akolitom zastanowić się nad naturą samoświadomości. *Rozważcie to. Rozważcie kwestię współczucia i bezinteresowności wobec innych. Rozważcie kwestię świadomości, jako funkcji wiążącej nas z czasem oraz kwestię tego, jak pamięć tworzy historię, historia tworzy tożsamość, a tożsamość pragnienie przetrwania.*

Jakiego rodzaju świadomość powstanie? — zapytał swoich akolitów — jeśli gatunek zostanie wyniesiony na wyższy poziom? Nie zdradził, o jaki gatunek mu chodzi, i ostrożnie przypomniał o granicach. Zadaniem strażnika było chronić wiedzę, nie ją stosować. Owszem, badania należały do obowiązków, ale bezpośrednie eksperymenty już nie.

Jednak akolici pytali: czyż eksperymenty nie były częścią procesu badań? Była to jednak zupełnie odrębna kwestia i Lassatar nie miał jeszcze zamiaru jej poruszać. Wymagała więcej uwagi niż chciałby wówczas poświęcić. Artefakt xel'naga był pierwszy w kolejności.

Pozostawił więc uczniów samych z zagadnieniem, aby dogłębnie rozważyli najistotniejsze dylematy świadomości, przekonany, że problem pochłonie ich i pozwoli trzymać z dala od kłopotów. Może powinien był bardziej skonkretyzować zadanie.

Udał się wraz z artefaktem xel'naga na odległą, martwą asteroidę i w ciszy, cierpliwie, metodycznie badał jego historię, naturę i to, dlaczego starożytna rasa go ukryła. Kiedy w końcu uznał, że wszystko pojął, reaktywował artefakt.

I odkrył...

To, co odkrył, okazało się wstrząsające.

Nie to, czym artefakt jest, ale to, czym mógłby się stać. Nie chodziło wyłącznie o moc uwolnioną przez artefakt xel'naga, chodziło o implikacje tej mocy. Czy Lassatar mógł, czy powinien ujawnić swoje odkrycie?

Samemu nie uda mu się znaleźć odpowiedzi na to pytanie, a jednocześnie nie mógł się nim podzielić z żadnym innym protosem. Stał przed dylematem, który mógł go strawić. Nie widział innego wyjścia poza skazaniem siebie na wygnanie.

Wrócił z zesłania, aby poinformować swoich akolitów, że ich drogi muszą się rozejść, ale okazało się, że zniknęli. Wtedy po raz pierwszy użył mocy artefaktu xel'naga.

Wykorzystał go, aby wysledzić ich psioniczny trop aż do tego miejsca...

To co znalazł, zaniepokoiło go. Następnie przeraziło. Aż w końcu zasmuciło.

Gdyby był zdolny do paniki, jej również by doświadczył.

Jego akolici podjęli postawioną przez Lassatara kwestię i dotarli na skraj obłądu. Skoro możliwa okazała się modyfikacja struktury genetycznej gatunku w celu zmiany wzorców behawioralnych, to czy można było również zmienić zergi w mniej groźne stworzenia?

Tutaj, odizolowani od kolektywu protoskich umysłów, z dala od oczu autorytetów, akolici Lassatara w spokoju i metodycznie eksperymentowali nad biologią zergów. Usprawiedliwili swoje czyny przed sobą stwierdzeniem, że jedynie sprawdzają teorię, aby potem donieść o jej przydatności. Ale ich pracę cechowała również wyniosła arogancja. Poczuli, że posiadając dowody na odniesiony sukces, nie tylko zmieniają sposób dyskusji o zergach, ale również całą metodologię walki. Napędzani przez ambicję akolici uwierzyli, że wejdą na wyższy poziom.

Gdyby tylko przetrwali.

Obecność człowieka jeszcze bardziej skomplikowała sytuację.

Akolici Lassatara wybrali ten świat z tych samych powodów, co człowiek. Planeta tak bardzo oddalona od granic sektora Koprulu gwarantowała, że wykrycie tutaj czyjejkolwiek obecności było mało prawdopodobne. Tym większą ironię stanowiło to, że człowiek znalazł dowody ich eksperymentów.

To musiał być przypadek.

Gdyby ludzie nadzorowali eksperymenty jego akolitów na tej planecie, przysłałiby kogoś więcej niż samotnego odkrywcę.

Dlatego też był to niefortunny przypadek.

Lassatar nie ujrzał więc w człowieku zagrożenia i dlatego nie musiał podejmować działań przeciwko niemu. Lecz może...

Lassatar musiał pozostawić tę myśl niedokończoną. Nie mógł przewidzieć wszystkich możliwości wynikających z tej sytuacji. Jeszcze nie. Zbyt wiele było niewiadomych. A on nadal nie rozwiązał problemu artefaktu xel'naga.

Cały proces myślowy — zarówno treść, jak i kontekst — przebiegł błyskawicznie, protos potrzebował na to mniej czasu niż na wyeliminowanie mikro-szpiegów. Dlatego też jeszcze zanim człowiek podniósł rękę i się przywitał, Lassatar postanowił, że pozwoli mu żyć.

Tak jak wszyscy protosi nie odczuwał przyjemności w celowym odbieraniu życia. Uznawał to za marnotrawstwo. Pozwalając obcemu żyć, otworzy nowe możliwości. Zabijając go — wyeliminuje je.

Dlatego też pogrążył się w mroku i zniknął człowiekowi z oczu.

#

— Dobra, to było dziwne. — Jake potrząsnął głową w zdumieniu. Nie wiedział, co zrobić. Sprawdził wyświetlacz.

Wszystkie wskaźniki świeciły na zielono. Za to w głośnikach szumiało. Zakłócenia odbioru. Dziwny hałas. Coś. Może to tylko szumy tła. Ciężko było stwierdzić. Może to tylko dźwięki samych układów.

A może nie.

Jake nie znał dostatecznie dobrze tego świata i nie zdążył się przyzwyczaić. Mógł jeszcze opuścić planetę. Może powinien. Coś rozszarpało na strzępy tropiciele i nieśmiertelnych. A znał tylko jeden gatunek, który atakował protosów... i był zdolny zadać im obrażenia. Zergi.

Jeśli jakiegokolwiek z tych stworzeń przebywało na tym świecie, musiał go opuścić. Stanowiły zagrożenie dla wszystkich form życia poza sobą.

Chyba że... Chyba że zergi tutaj były, ale protosi już je zniszczyli? Nie, to życzeniowe myślenie. Odłamki w komorze to części protoskich pancerzy. Jake nie widział ciał napastników. Ktokolwiek lub cokolwiek rozszarpało protosów, zaatakowało bez ostrzeżenia i rozniosło ich w pył. Na ścianach i podłodze widoczne były zadrapania, na niektórych fragmentach pancerzy również, ale śladów nie dało się jednoznacznie zidentyfikować.

A skoro już o komorze mowa, to co ją stworzyło? Jakiś wybuch? Nie wiedział. Nie był ekspertem od technologii protosów. Stanowili dla Jake'a jedną, wielką tajemnicę.

Nie, musiał skupić się na pilniejszym pytaniu. Dlaczego nadal żył?

Skoro ten złowieszczo wyglądający protos nie chciał go zabić, to dlaczego zniszczył mikro-spiegów? Jakie zagrożenie stanowili? Ciepło? Hałas? Promieniowanie? Zapach paliwa? Sygnał bezprzewodowy? Umojańskie urządzenia nie przekraczały rozmiarów komara. Ich wpływ na lokalne środowisko byłby niewykrywalny. No, a przynajmniej znikomy.

Powinien być.

A może coś przegapił...?

Skoro mikro-szpiegów można było wykryć, to nagle powód, dla którego protos je zniszczył, stał się jasny. Chodziło o to, aby nie przyciągnęły uwagi czegoś innego. Czegoś paskudnego.

— Szlag.

Jake zamarł i potrząsnął głową. Rozważył opcje. Wybrał ten układ specjalnie po to, żeby być tu sam. Ten świat leżał tak daleko za pograniczem, że spotkanie tu protosów lub zergów nie wydawało się możliwe. To powinno być bezpieczne miejsce.

— Ha — parsknął. — No i proszę, jak wyszło. Znalazłem planetę i z jednymi, i z drugimi.

W głębi duszy chciał uciekać. I rzeczywiście, miał poważne powody, żeby tak zrobić. Powinien wrócić na sępa, odpalić go, skierować do wylotu — ignorując szalejącą na zewnątrz super-burzę — i przy pierwszej nadarzającej się okazji odlecieć.

A nawet gdyby taka okazja nie nadeszła, to mógłby wystartować, gdyby tylko usłyszał pierwsze chrobotanie szponów w ciemnościach. Owszem, w sępie miał mnóstwo uzbrojenia, ale widział, co zergi zrobiły w starciu z bardziej zaawansowaną technologią protosów. Dla Jake'a szybka ucieczka byłaby najlepszym i najbezpieczniejszym wyjściem. Ale powrót do sępa oznaczał też, że Jake będzie siedział sam w ciemnościach, czekając nie wiadomo na co z narastającą grozą. A to mu nie pasowało. Jake zdał sobie sprawę, że paradoksalnie tchórzostwo wymagało podejmowania odważnych działań w celu uniknięcia najstraszniejszego.

Zamiast uciekać, musiał iść dalej, podążać za tajemniczym protosem. Niewiele wiedział o ich rasie, jedynie oczywistości, które podawano w wiadomościach. Ale wydawało mu się, że ten obcy należał do mrocznych templariuszy.

Pomimo kilku incydentów zbrojnych, ludzie i protosi nie byli w stanie wojny. W rzeczywistości w kilku przypadkach nawet ze sobą współpracowali. Z tego, co Jake wiedział, stosunki były napięte i niepewne — nie byli ani wrogami, ani sojusznikami, czasami jedynie przypadkowo łączyły ich wspólne interesy. Zastanawiał się, czy w tym przypadku było podobnie.

Ostrożnie przemierzał owalną komorę. Zgadywał, że utworzył ją wybuch. Duże fragmenty skały wulkanicznej utrudniały marsz, ale ściany wyglądały na nienaruszone. Cokolwiek się tutaj stało, nikt i nic nie przeżyło. To wyjaśniało fragmenty protoskiego sprzętu. Czyżby zostali poświęceni? Czy może to zergi wykorzystały swoich samobójczych braci — tępiciele? Wybuchowe robale. To było najbardziej prawdopodobnym wyjaśnieniem. Rozmiar jaskini dał Jake'owi dość dobre wyobrażenie na temat rozmiarów eksplozji. To, jak przypalone zostały skały — niemal się stopiły — oraz niewielkie, parujące kałuże rozsiane tu i ówdzie były wyraźnym śladem kwasu. Strzelanie do tępicielei nie należało do dobrych pomysłów, ale jeśli się nie strzelało, było jeszcze gorzej. Tak czy inaczej szanse przetrwania marne.

Po drugiej stronie, gdzie tunel ciągnął się dalej, po mrocznym templariuszu zniknął wszelki ślad. Protos udał się w głąb góry. Jake nie słyszał odgłosów walki. Założył, że może bezpiecznie iść dalej. Wolał nie wypuszczać kolejnych mikro-szpiegów — musiał istnieć jakiś powód, dla którego zostały zniszczone, a Jake nie zamierzał go jeszcze poznawać.

Poruszał się w górę tunelu. Mrok rozświetlał jedynie snop światła z jego latarki. Jake poczuł, że góra zaczyna go przytłaczać. Wydawało mu się, że ściany zbliżają się i napierają na niego. Miał nadzieję, że tunel skończy się ślepym zaułkiem, ale wyraźnie się na to nie zapowiadało. Z przodu musiało być coś więcej.

I jeszcze problem — dokąd udał się mroczny templariusz? Jake słyszał, że mroczni templariusze potrafili się maskować i zniknąć jak duchy, pozostawiając za sobą jedynie krótkotrwałe zakrzywienie światła. Nie wiedział, czy to prawda, ale jeśli tak, protos mógł znajdować się tuż za nim, a Jake nawet by o tym nie wiedział. Nieprzyjemna myśl.

Lassatar miał własne zmartwienia.

Głównym celem życia było przetrwanie. Większość form życia czyniła to pożerając się nawzajem. Zergi były najgroźniejszymi i najżarłoczniejszymi istotami, na jakie protosi kiedykolwiek trafili. Przybyły do sektora Koprulu po to, aby zniszczyć protosów. A teraz rój zergów kontynuował ekspansję i sytuacja zbliżała się do punktu krytycznego.

Niebezpieczeństwo było wpisane w genom zergów. Asymilowały inne formy życia, przejmowały ich najlepiej przydatne do walki cechy. Tak powstała Królowa Ostrzy. W efekcie narodziła się jeszcze silniejsza i groźniejsza świadomość zbiorowa zergów, która została uznana za największe zagrożenie w najnowszej historii protosów.

Wszechobecna kontrola Królowej Ostrzy obejmowała wszystko, co zainfekowały zergi. To sprawiało, że izolowanie i badania nad przedstawicielami tej rasy były niebezpieczne. Tak naprawdę każda próba badania zergów alarmowała o tym ich przywódczynię. Czasami manipulowała lub sabotowała eksperymenty, często próbując obrócić ich obiekty przeciwko badaczom.

Najwyraźniej odległość nie była czynnikiem ograniczającym.

Tutejsza kolonia... należało ją zniszczyć.

Jednak działo się tutaj coś dziwnego. Akolitom udało się coś osiągnąć. Lassatar musiał poznać prawdę, zanim zrobi to Królowa Ostrzy.

Lassatar krążył w tunelach i jaskiniach wewnątrz wulkanu. Znalazł pozostałości mechanizmów kontrolujących i obronnych stworzonych przez akolitów. Protosi zostali zniszczeni przez dzikie obiekty własnych eksperymentów.

Dowody sugerowały, że zostali zaskoczeni przez grupę tępicielei. Stwory te same w sobie nie wystarczyłyby do zniszczenia maszyn na otwartym terenie, ale w zamkniętej przestrzeni wewnątrz góry wybuch i tąpnięcie, które po nim nastąpiło, zasypało tropicieli oraz nieśmiertelnych, a wszystko zostało utracone.

Kolonia musiała zostać zniszczona, zanim dojdzie do przerzutów infekcji — lecz Lassatar się wahał. Musiał wiedzieć, co jego akolici zrobili z genomem zergów. Pomimo niebezpieczeństwa, że kolonia może rozrosnąć się

i rozprzestrzenić, było niezwykle ważne, aby zrozumiał prawdziwą naturę nowej odmiany tych stworzeń i zagrożenie, jakie przedstawiały.

Tak długo, jak kolonia nie wykazywała oznak ekspansji — co samo w sobie stanowiło ciekawostkę — Lassatar czuł, że ma czas na obserwację. Ponadto nie zdecydował jeszcze, jaki będzie najskuteczniejszy sposób na unicestwienie zergów. Może udałoby mu się zastosować artefakt xel'naga, ale jego mocy obawiał się jeszcze bardziej niż kolonii zergów.

Miał oczywiście do dyspozycji inne technologie, ale nic, co zdałoby egzamin. Zamiast tego będzie musiał wspomóc się większymi, dostępnymi na miejscu siłami. Jeśli uda mu się obudzić wulkan, wyzwoli wielką erupcję, która zawali cały stożek na gniazdo stworów. Wtedy z pewnością je zniszczy.

Pojawienie się człowieka stanowiło mniejsze zmartwienie.

#

Jake powoli i metodycznie kontynuował wspinaczkę tunelem. Jeśli nie dotrze na szczyt w ciągu następnych trzydziestu minut, zawróci. Jeśli burza wystarczająco się uspokoi do tego czasu, odleci stąd. Nie tylko z wulkanu, nie tylko z wyspy, ale w ogóle — z planety.

Zatrzymał się i zaczął nasłuchiwać. Nic. Słyszał tylko własny oddech. Czuł bicie swojego serca. Wydawało mu się nawet, że słyszy szum krwi w żyłach. Ale nic więcej. Poczul się tak samotny, jak tylko samotny może być człowiek.

Wtem... zahaczył o coś stopą. I to nie o skałę.

Spojrzał w dół.

— Szlag.... Biomasa.

Niewiele jej. Tylko jedna macka. Ale była to ta sama cuchnąca materia, która żywiła zergi i zatruwała wszystko inne. W niej kryła się sieć neuronów, która łączyła się z czymś, co można by nazwać umysłem. Albo to jakaś ogromna sieć psioniczna, tego nie wiedział. Wiedział za to, że trącił biomasę, a to wystarczyło, aby zaalarmował zergi o swojej obecności. Wszystkie zergi. Te blisko i daleko, wszędzie.

To przesądziło sprawę.

Ucieczka. Jedyne wyjście.

Jak najszybciej się da. Może wtedy przeżyje.

Jeszcze nie skończył formować myśli, a już był w ruchu. Odskoczył do tyłu i w połowie obrócony puścił się biegiem potykając o podłoże tunelu. Stawiał nierówne kroki, pośliznął się na gładkiej powierzchni obsydianu.

Snop światła z latarki zawirował. Serce pompowało adrenalinę do organizmu. Jake potknął się i zaczął zjeżdżać w dół stromego tunelu, miotając się i próbując zachować równowagę. Następnie, wciąż obracając się, grzmotnął o ścianę i upadł. Tunel znów biegł poziomo.

Panicznie próbował złapać oddech. Wreszcie zdołał dojść do siebie. Obrócił się na brzuch, wstał i kontynuował bieg.

Mówił sobie, że mu się uda. *Dasz radę, dasz radę* — powtarzał w myślach znajomą mantrę.

I wtedy dotarł do komory.

— Szlag!

Musiał rozważnie wybrać drogę, inaczej straci przewagę, którą zyskał na początku.

Nie zatrzymał się, po prostu skoczył na pierwszą z brzegu skałę i parł do przodu. Złapał się ułamanej nogi tropiciela i wciągnął na następny głaz, potem przeskoczył na kolejny, kopnął na bok fragment złotego pancerza nieśmiertelnego i wspinał dalej. Był w połowie jaskini, gdy usłyszał pierwsze odgłosy — ostre zgrzytanie szponów o skały. Z tunelu. Wiele stworzeń. Wiedział, że skoro je słyszy, to bardzo zły sygnał. Wyświetlacz pokazywał coraz większą ilość czerwonych kropek na szóstej.

Jake'a czekała niełatwa wędrówka ku dolnej części tunelu. Nie uda mu się. Odwrócił się, zdjął broń z ramienia i ustawił strefę celowania na trochę szerszą od wyjścia z korytarza. Jeśli starczy amunicji, jeśli stworzeń nie będzie zbyt dużo, jeśli uda się je choć na chwilę odpędzić, jeśli Jake'owi sprzyjać będzie tysiąc innych czynników i jeśli do tego jeszcze poświęci kozę dokładnie o północy... może wtedy uda mu się dotrzeć do wyjścia. I do sępa. I gdzieś ma super-burzę. Woli zostać rozerwany przez wiatr wiejący z prędkości trzystu kilometrów na godzinę niż przez insekty rozmiarów wilków.

Trzy pierwsze zerglingi wylazły z piskiem z tunelu przed nim, zanim jeszcze był gotowy. Uratowało go to, że zaczął strzelać na oślep, nie celując. Stworzenia wyskoczyły prosto na linię ognia, ale to nie wystarczyło. Rzucił

pierwszym granatem zapalającym. Jaskinia wypełniła się metalowymi odłamkami, szkarłatnymi jęzorami ognia i ogłuszającym hukiem! Ściany odbiły wszystkie dźwięki, które uderzyły w Jake'a i zaskoczyły zerglingi. Stworzenia rozbryzgnęły się na kawałki. W ciemności zamigotał płonący pył.

Ale fart!

Jake stanął pewnie szykując się na następny atak. Tym razem wycelował AGR-14 prosto na tunel i skupił ostrzał na środku. Wypuszczał miarowe serie obserwując licznik amunicji. Wszystko szło doskonale, miał jeszcze dwa pasy amunicji. Ile zerglingów zdoła zabić? Czy wystarczająco? Czy też w końcu go przytłoczą?

Kolejne trzy! Sześć! Wydawały diabelskie wrzaski, darły pazurami po szklistej skale. Kolejny granat! Rozwalił bestie na płonące kawałeczki. Huk eksplozji był straszliwy. Ogień zapłonął jasno i rozświetlił mrok jaskini. W powietrzu zgęstniał dym, uniosły się iskry.

Jednak godziny spędzone na symulatorze nie poszły na marne. Grał w pojedynek, grał z i przeciw SI, grał drużynowo. Robił to dla rozrywki, nigdy nie sądził, że pewnego dnia stanie naprzeciwko prawdziwych zergów, a tu przybywały kolejne! Było ich za dużo! Wydierały się koszmarnie!

Jake stracił rachubę. Strzelał na oślep w masę stworów przed sobą. Następnej fali nie przetrwa...

Czy zdąży dotrzeć do wyjścia? Zerknął za siebie i zaraz odwrócił się z powrotem... omal nie przegapił kolejnego ataku zerglingów. Nie, nie było czasu. Rzucił kolejnym granatem, który szybko i sprawnie rozerwał bestie na strzępy. Jake chyba zaczynał łapać, jak to robić. Ale miał coraz mniej amunicji. To się źle skończy. Teraz to poczuł — swąd dymu i czegoś jeszcze gorszego, zwęglonych, palonych żywcem potworów, fetor ich obcych wnętrzności, który nakładał się na odór śmierci i innych, bliżej niezidentyfikowanych zapachów. Gęstniejący dym sprawiał, że widać było coraz mniej.

Jake wpadł na pomysł — ostatni, desperacki pomysł. Może uda mu się zablokować wejście do górnego tunelu, zawalić je? Oby nie sobie na głowę. Zostały mu trzy granaty. Czy wystarczą? Istniał tylko jeden sposób, żeby się przekonać. Jake potrzebował kilku sekund...

Szesnaście zerglingów później w tunelu nadal niósł się echem odgłos jego strzałów. Cuchnące, dymiące ochłapy zergów rozbryzgiwały się i płonęły na ścianach. Zdał sobie sprawę, że nie ma nawet tych kilku sekund.

— Szlag!

Chyba, że zrobi co innego.

Wycelował w głąb korytarza i wypuścił błyskającą nawałnicę ognia. Amunicja smugowa przebiła ciemność, zostawiając czerwono-żółte pasma światła. Z oddali dobiegły wrzaski. Z tunelu wyleciały obłoki dymu, lawina kamyków i części ciał zerglingów.

Może ma czas. Musiał otworzyć plastikową osłonę przełącznika, uzbroić broń — *za dużo przycisków, dlaczego nie zainstalował tylko jednego? No tak, bezpieczeństwo.* Później o tym pomyśli. *Dobra, gotowe! W samą porę!* Wycelował w tunel, w sklepienie i wystrzelił. Raz, drugi...

Granaty po łuku przemierzyły komorę i wpadły w mrok. Wydały przeraźliwy pisk i wtedy...

Pojawił się potężny podmuch i ściskający klatkę piersiową huk. Jake'a rzuciło na ścianę komory. Po krótkim, ostrym wstrząsie, gdzieś w głębi nastąpił łomot, wszystko wokół się zatrzęsło i pierwsze głazy zaczęły spadać na tunel niewielką lawiną. Wystarczyło, aby przykryć ostatnie fragmenty nieśmiertelnych i tropicieli, wstrząsnąć leżącymi na ziemi kamieniami i doprowadzić do nagłej zmiany ciśnienia, która omal nie rozerwała Jake'owi bębenków usznych.

— Mogłem o tym od razu pomyśleć. — Pokiwał głową z satysfakcją.

Wziął głęboki oddech, potem drugi i trzeci. Był zdumiony, że nadal żyje i że zachował trzeźwość umysłu. Sapnął głośno, uwolniwszy się od szoku po stoczonych walce. Było coś dziwnego w tych zerglingach. Nie przypominały mu tych z symulatora. Były... Jake potrząsnął głową. Lepiej niech komputery to sprawdzą. Poczuł, jak serce wali mu w piersi, i pomyślał: *Muszę chwilę odpocząć...*

Rozejrzał się po jaskini, wokół unosił się dym, strzelały iskry, wszystko było skąpane w spalonej materii organicznej. Nie myślał o zergach jako o zwierzętach z krwi i kości, ani nawet jako o insektach. Dla niego były tylko czymś... czymś obrzydliwym i cuchnącym. Wszechświat miał skrywać cuda i wspaniałości. A to... to było piekło. Podziemny ogień. Wieczne potępienie.

— Dobra, wystarczy. Koniec dramatyzowania. — Jake przyłapał się na czarnych myślach. — Pora stąd spadać.

Odwrócił się do skały, która stała mu na drodze do tunelu, i zaczął się po niej wspinać. Był w połowie drogi, gdy jego uszu dobiegły dźwięki.

— No nie! Niech to szlag! Jaja sobie robisz?! — krzyknął ogólnie do wszechświata, losu, przeznaczenia, czegokolwiek. — Starczy już tych okrutnych żartów.

Wspiął się na kolejny występ, od celu dzieliły go jeszcze dwa metry. Zerknął na drugi koniec jaskini.

— Szlag...

Cała ściana się trzęsła. Coś przekopywało się z drugiej strony, coś dużego. Coś *bardzo* dużego. Słyszał odgłos szponów rozdrapujących twardą skałę. To było coś zupełnie innego niż zerglingi.

Wyświetlacz Jake'a pokazywał zagrożenie większe niż to, z jakim mogłaby sobie poradzić broń, którą dysponował. *Cokolwiek to jest, nie mam z tym szans ...*

— To nie jest zabawne — Jake ponownie zrugął wszechświat. — Wiem, czym jest zabawa, a to nią nie jest.

Mimo to dostosował celownik broni, aby skupić ogień. Może uda mu się chociaż zranić to cholerstwo. A może będzie miało jakiś wrażliwy punkt — mało prawdopodobne, ale nie zaszkodzi mieć nadzieję — i jeśli uda mu się go znaleźć, to kto wie? Może nawet zabije to coś.

Ściana po drugiej stronie jaskini drżała już porządnie, wzniesając tumany pyłu. Pojawiły się pęknięcia, zaczęły spadać coraz większe odłamki. Oparł się o ścianę plecami i stanął pewnie. Może uda mu się oddać choć jeden dobry strzał. Wyśrodkował światło latarki...

Coś się przebiło, ciemne ostrze przeszło powietrze niczym olbrzymia maczeta! Potem pojawiło się kolejne, obok! Skały spadały w ciemność. Stwór był ogromny! Nierealnie wielki! Na co Jake patrzył, do cholery?

W co celować? W paszczę? Oczy? Stwór potrząsnął łbem, wymachując dwoma przypominającymi kosa ciosami. Nawet jeśli miał paszczę, to nie było jej widać. Może strzelić w jedno z kolan i powalić bestię...? Dobra, walić to — po prostu strzelać...

Zanim jednak zdążył nacisnąć spust, poczuł ukłucie w głowie: efekt psionicznego wybuchu, oślepiający, ogłuszający, przeraźliwy, przepełniający umysł tysiącem kolorów, kształtów, zapachów, dźwięków i zimnym ogniem. Było to coś pięknego i bolesnego, wspaniałego i odrażającego zarazem...

Przed nim, z rozpostartymi ramionami stał mroczny templariusz. Z jego czteropalczastych dłoni strzelał ogień, przez komorę wulkaniczną przemknęła błyskawica. Poparzona i poraniona bestia uderzyła o ścianę, rycząc z bólu i wijąc się w agonii.

Jake gapił się w zdumieniu.

W końcu bestia zatoczyła się i padła na skały z mięsistym grzmotnięciem. W powietrzu rozniósł się porażający smród. To był ultralisk... Tyle, że zmutowany w coś większego i dzikszego.

— Szlag by to! — rzucił Jake.

Protos stał nieruchomo przed martwym olbrzymem, patrząc, jak bestia umiera. Na jej grzbiecie tańczyły jeszcze iskry, pozostałości niebieskiej błyskawicy, aż w końcu zgasły zostawiając po sobie jedynie dym. Ze sklepienia jaskini nadal spadały kamyki. Jake zaświecił latarką, żeby sprawdzić, czy nie dojdzie do zawalenia.

Ale nie, sklepienie komory trzymało.

Jake aż się wzdygnął. Głowa go bolała. Podobnie, jak całe ciało. Czuł się rozbity i wstrząśnięty niedawnym wybuchem psionicznym.

— Niech to, niech, niech to... — złapał w końcu oddech i dokończył — ...szlag! Jestem chyba pierwszym człowiekiem, który to widział.

A na pewno pierwszym, który to przeżył. To na pewno ta sławna psioniczna moc protosów. To dopiero było coś.

Zaczął się zastanawiać, czy teraz będzie jeszcze bardziej wrażliwy na psioniczny hałas niż wcześniej. Oby nie. A może miał szczęście i bliskość wybuchu sprawiła, że mózg mu się przeciążył i przestanie wyczuwać inne umysły. Wielu ludzi posiadało przebłyski takich umiejętności. Bardzo nieliczni jednak na poziomie, który pozwalał szkolić ich na duchów. Jake cieszył się, że nie należał do tego drugiego grona. Czuł się wyczerpany, choć nic przecież nie zrobił.

— Dobra, Jake — powiedział do siebie. — Pora się stąd wynosić.

Odwrócił się do protosa, żeby się pożegnać i...

...podniósł gwałtownie broń. Wystrzelił w gromadę stworów, które zaczęły wyłazić z naprzeciwka. Skupił na nich ogień. Ostatni granat wyzwolił niewielką lawinę i skalna ściana zawaliła się, zagrzebując chroboczące zerglingi pod głazami, pyłem i żarem.

Dlaczego protos ich nie zauważył i nie zniszczył? Czyżby potrzebował czasu na dojście do siebie? Musiał naładować akumulatory? Jeśli tak, to psionicy nie byli aż tak niezawodną bronią, jak się wszystkim zdawało. Ciekawe. Chociaż Jake i tak nie miał komu o tym powiedzieć.

Mroczny templariusz odwrócił się i podniósł rękę — Jake nie wiedział, czy bardziej w geście podziękii, czy pożegnania. Ale zrozumiał przekaz. Pora się wynosić, nie ma co czekać! Mroczny templariusz zniknął, a Jake wspiął się po ostatnich głazach do tunelu. Wskoczył na sępa, włączył silnik i zaczął wycofywać w kierunku wyjścia z wulkanu.

Na zewnątrz nadal szalała burza, ale wyświetlacze pokazywały, że przechodziła i że Jake znajdował się już na jej skraju. Oko tego cyklonu oddalało się coraz bardziej na północ. Super-burza już tylko omiatała wyspę, nie targała nią. Wiatr nadał wiał mocno, szybciej niż pasowało to Jake'owi, ale nawigacja sępa meldowała, że uda się wrócić do obozu. Pewność siebie Jake'a nie była na najwyższym poziomie, ale na dostatecznie dużym. Przycisnął gaz do dechy.

Przez całą drogę powrotną jego myśli przeskakiwały z jednej kwestii na drugą — spakowanie się i odlot wydawało się najlepszym pomysłem. Ale coś go wstrzymywało. Protos uratował mu życie. Nie miał powodu tego robić, a przynajmniej Jake'owi żaden nie przychodził do głowy.

Ale Jake też uratował życie mrocznemu templariuszowi. Spłacił więc dług.

Prawda?

Dlaczego mroczny templariusz zjawił się akurat wtedy? Dlaczego zniszczył tego... tego okropnie zmutowanego ultraliska?

Dlaczego protos w ogóle się pokazał?

Jake mknął przez czarną noc, krzycząc w duchu z frustracji. *Szlag! Ten stwór czegoś ode mnie chce!* Zanim dotarł do obozu, wiedział już dokładnie czego.

#

Lassatar stał nieruchomo, sparaliżowany przez efekty tego, co właśnie zrobił. Był wyczerpany. Pozbawiony energii. Podatny na atak.

Wykorzystał moc artefaktu xel'naga. A może to relikwiarz wykorzystał jego — protos nie był pewien.

Ale teraz pojął.

Artefakt xel'naga był soczewką skupiającą moc psioniczną. A jednocześnie czymś więcej, czymś przerażającym. Artefakt wzmacniał i koncentrował moce psioniczne tego, kto go dzierżył. Ale co więcej, nawiązywał więź tak, że nawet gdy właściciel nie posiadał własnych mocy, to miał do dyspozycji te, które drzemały w samym relikwie.

W momencie ataku Lassatar miał tyle mocy, ile archont. Może nawet więcej. Artefakt xel'naga czerpał energię z nieograniczonych zasobów, ale ich kontrolowanie wymagało również energii od jego posiadacza. Relikwiarz wysłał z protosa wszystkie siły i wykorzystał je, aby zmienić własne moce psioniczne, skupić je, wycelować, a następnie zniszczyć atakującego zerga.

Co mógłby dzięki artefaktowi osiągnąć ktoś o jeszcze większym potencjale psionicznym — na przykład archont?

Na dodatek okazało się, że z zasobów psionicznych artefaktu mogą korzystać także ci, którzy nie posiadają własnej mocy... Co ta wiedza przyniosłaby rasie protosów?

Jako strażnik pradawnych tajemnic, Lassatar musiał zadać sobie pytanie, przed kim chroni ten relikwiarz? Dla kogo go chroni? Nie potrafił jeszcze odpowiedzieć na to pytanie. Nie tutaj, nie teraz.

Najpierw musiał stawić czoła zaistniałej sytuacji. A artefakt xel'naga był teraz jej częścią. Starożytny relikwiarz nie tylko pozwalał czynić więcej, lecz również widzieć więcej.

Dzięki temu nagłemu wstrząsowi Lassatar dokładniej pojął, co się stało w tej niespotykanej kolonii zergów. Nie było to wyraźnie widoczne u mniejszych form życia — tępicieli i zerglingów — lecz stawało się przerażająco jasne u olbrzymiego, zmutowanego ultraliska, który przedarł się przez tunel.

Akolici stworzyli zergi posiadające tożsamość.

Teraz dopiero pojął, czego dokonali. I dlaczego. Postanowili sprawdzić, czy Królową Ostrzy można obalić. To było laboratorium dla ich testów. Psionicznie odizolowali górę. Królowa Ostrzy o niej nie wiedziała. Sama kolonia również nie wiedziała, że istnieją inne zergi. Były tutaj samotne i przerażone. Pole izolacyjne uwięziło ich umysły w agorafobicznym koszmarze.

To dlatego eksperyment się nie powiódł. Groza stała się przyczyną fiaska.

Kiedy pojedyncze osobniki zyskują tożsamość, wykształcają również potrzebę jej podtrzymania — potrzebę przetrwania. Im większe poczucie indywidualności, tym większy imperatyw przetrwania. Im większa potrzeba przetrwania, tym mniejszą kontrolę Królowa Ostrzy miałyby nad przedstawicielami swojego dominium.

Eksperyment akolitów — odizolowanie kolonii — sprawił, że drastycznie zmieniła się równowaga wewnątrzgatunkowa. Cokolwiek jeszcze starali się osiągnąć, udało im się... i jednocześnie nie udało.

Zergi się nie wycofały. Nawet przegrywając zmusiły przeciwników, aby każdy metr przewagi okupili krwią. Ale kiedy pojedyncze osobniki z gniazda dostrzegły, że nie miały szans przetrwać ataku, uznały to za zagrożenie ich tożsamości. Kiedy stworzenia zostały rozdzielone i odosobnione, i kiedy obudziła się w nich własna świadomość, kolonia została rozbita. Czy wszystkie zergi rozpoznałyby, że nadchodzi ich koniec? Czy zawahałyby się? Czy wpadłyby w panikę? Czy uciekłyby?

Wniosek wydawał się logiczny.

Ale akolitom brakowało doświadczenia, aby osądzić, że to zbyt proste rozwiązanie. Założyli, że tworząc odrębne tożsamości w roju zergów, zarażą je strachem.

Zrozumiała pomyłka.

Łatwo było ją popełnić przy braku głębszego zastanowienia. Błąd wydawał się oczywisty tylko z perspektywy czasu, ale podwładni Lassatara, architekci tej grozy, zginęli przez swoje błędne założenia.

Nie przemyśleli wszystkiego. Emocje są z natury biologiczne — to pierwotna reakcja na procesy myślowe. Strach wywodzi się z postrzegania zagrożenia. Niektóre obawy wynikają z okoliczności, inne mają słabsze

podstawy, wywodzą się raczej z impulsywnego postrzegania dopiero kształtujących się możliwości.

Niższą krzywą emocjonalnego spektrum — żal, strach, wrogość — stanowiła obszerna symfonia powiązanych ze sobą chwil. Wyższa krzywa spektrum — radość — miała znacznie węższy zasięg. Eksperymenty nie uwzględniały tego, że zergi nie były zdolne do doświadczania żadnych pozytywnych emocji. Bezmyślne niczym owady nie posiadały ewolucyjnej potrzeby odczuwania radości. Dlatego akolici Lassatara nie uwzględnili tej możliwości w swoich hipotezach.

Lassatar mógł ich ostrzec. Widział coś podobnego u ludzi, których spotkał. Ponieważ radość tak rzadko występowała w ich życiu, była dla nich niezwykle ważna. Dlatego szukali jej za wszelką cenę.

Dostrzegł to, gdy szukał artefaktu xel'naga i natrafił na malutką dziewczynkę. Był tam również jeden z ludzkich kosiarzy. Mała poznała radość w rodzinie, podczas gdy kosiarz odnajdował ją wyłącznie w zabijaniu. Była to jedyne pozytywne uczucie, jakie żołnierz znał i rozumiał.

Te zergi nie wiedziały, jak odnaleźć radość w rodzinie. Zamiast tego nauczyły się czerpać ją z walki. Cieszyły się nawet idąc na śmierć. To sprawiało, że ich ataki były jeszcze bardziej zaciekle i niepomierne bardziej niebezpieczne, niepojęte. Jakie inne, niezamierzone konsekwencje zostaną ujawnione?

Przez chwilę Lassatar rozważał możliwość, że eksperymentującym udało się osiągnąć sukces, którego nie przewidzieli. Może natura tożsamości polegała na tym, że jej dalszy rozwój wyzwalał podziały w roju zergów, niczym podczas wojny domowej, którą Królowa Ostrzy wypowiedziała cerebratom. Królowa Ostrzy pokonała cerebratów i zergi stały się jeszcze groźniejsze. A jeśli te nowe stworzenia pokonają z kolei królową i zergi staną się jeszcze bardziej zabójcze?

Nie miał zamiaru ryzykować i się przekonywać. Nie mógł pozwolić, aby kolonia się rozrosła. Jeśli osiągnie punkt krytyczny, zergi wyleją się poza psioniczne granice góry. Jeśli do tego dojdzie, rozprzestrzenią się poza ten świat...

Lassatar musiał uznać, że nie posiada środków niezbędnych do zniszczenia gniazda.

Ale posiadał je człowiek. Lassatar mógł go wykorzystać.

Wielu ludzi wytworzyło prymitywny rodzaj zdolności psionicznych, pierwotny, zwierzęcy, nieukształtowany potencjał, który bez żadnych dowodów brali za przecucia, znaki, objawienia i niewyjaśnione, niezwykle zjawiska. Niewielka grupa posiadała potężniejsze zdolności, wystarczające, aby można było je rozpoznać, kontrolować a nawet uczyć się ich użycia. Ludzie założyli nawet akademię szkolącą mentalnych wojowników, których nazywali duchami.

Napotkany przez Lassatara człowiek posiadał podstawowe umiejętności psioniczne, typowe dla reszty jego gatunku. Ale jak artefakt xel'naga tymczasowo pozwolił protosowi osiąść moce archonta, tak samo urządzenie pozwoliło rozbudzić i rozszerzyć potencjał psioniczny u człowieka.

Człowiek nie umiałby wykorzystać tego potencjału do komunikacji, ale mógł go doświadczać, a to powinno wystarczyć.

Dla Lassatara była to prosta kwestia nałożenia psionicznego wybuchu artefaktu xel'naga na obraz eksplodującej góry. Zergi byłyby przerażone.

Człowiek doświadczyłby tego w zupełnie inny sposób.

#

Jake nie wiedział, skąd wiedział, ale wiedział.

Zupełnie, jakby przeszedł każdy metr wnętrza góry, jakby znał każdy tunel i komorę. Zupełnie, jakby podpiął się umysłem bezpośrednio do biomasy, znał każde miejsce, gdzie sięgają jej macki. Zupełnie, jakby stał się jakimś organicznym bio-komputerem, rozumiał dokładnie, czego trzeba do wybudzenia wulkanu i zniszczenia gniazda. Zupełnie, jakby nagle wyszedł z własnego ciała i patrzył na siebie z góry. Zupełnie, jakby nagle stał się jakimś meta-bogiem, wiedział dokładnie, co się stało.

— Przeklęty protos! — krzyknął. — Ten nieproszony, mieszający w głowie, złocony skurczysyn! — Walnął w wolant sępa i skierował go w dół, ku hangarowi z lądownikiem. — Zresztą, przecież nie muszę... — ale zanim skończył, wiedział, że się myli. — Szlag!

Jakiegokolwiek myśli czy uczucia zostały wtłoczone w jego mózg, imperatyw był zbyt silny. Musiał. I wiedział o tym. Nie była to wiedza sensu

stricte, bardziej część jego jaźni. Zupełnie, jakby stał się inną osobą. Nie mógł opuścić tego świata, dopóki nie zniszczy zergów... albo nie umrze próbując.

— Chciałem tylko odrobiny spokoju! — wykrzyczał w niebo, ku ostatnim przejawom burzy. — Czy proszę o tak wiele?

Wzniósł ręce i gniewnie potrząsnął pięściami.

— Protosi! Super-burze! Olbrzymie zergi?! Zainfekowane wulkany?! Dobra, rozumiem! Trzeba wypić karmiczne piwo, którego się nawarzyło! Ale to chyba przesada?!

Jakby w odpowiedzi z nieba trzasnęła błyskawica. Uderzyła tak blisko, że niemal go powaliła.

— Dobra, dobra, rozumiem — odparł Jake. — Nie mam nic do gadania.

Wewnątrz lądownika, prowizorycznego centrum dowodzenia, włączył główny monitor i nawiązał łączność ze statkiem kolonizacyjnym. Zajmie to trochę czasu. Musiał wykonać wiele obliczeń. Ile będzie mu potrzebne i w jakim miejscu, dla jak największego efektu. Statek kolonizacyjny był wyposażony we wszystko, co niezbędne do założenia samowystarczalnej kolonii górniczej, i załadowany bardzo potężnymi maszynami i równie potężnymi ładunkami wybuchowymi. Nie było ich dostatecznie dużo, ale na początek wystarczy...

Dzięki sondom, Jake miał już całkiem dobre rozeznanie geologiczne, ale to wciąż za mało — dopóki nie uzupełni go o super-wiedzę, którą zyskał dzięki protosowi.

Szalejące na planecie super-burze osłabiły nawietrzną stronę stożka wulkanicznego i z każdą kolejną górą stawała się coraz mniej stabilna. Niektóre części były osłabione. Tutaj, tutaj i tutaj — tuż nad linią drzew na północno-zachodnim zboczu. Siedem korytarzy, każdy prowadzący do samego środka uspiętego wulkanu. Jake mógł zrzucić kapsuły ze sprzętem górniczym, a potem zmodyfikować sondy podłączając do nich ładunki. Jeśli uda mu się jednocześnie zawalić wszystkie kanały lawowe, to być może osunie się też zbocze góry, co doprowadzi do powstania kaldery.

Zasymulował kilka scenariuszy. Niektóre zadziały, ale nie tak, jakby chciał. Przeprowadził więc kolejne symulacje. Zaczynał dostrzegać skalę problemu. W końcu próbował wysadzić w powietrze całą górę, a ta nie miała

zamiaru poddać się tak łatwo. Trzeba było ją przygotować. A to wymagało dużo energii.

Ta część planu mu się nie podobała.

— Przeklęty protos! Niech go! — warknął Jake. — Kto mu w ogóle dał prawo pakować myśli do mojej głowy?! Ja mu do jego łba niczego nie wpychałem, przywitałem się tylko! Czy to od razu zaproszenie do umysłowego gwałtu?

Z drugiej strony, musiał przyznać, że fajnie było rozmyślać nad sposobami zabicia zergów. Niemal sprawiało mu to frajdę. Za każdym razem, gdy podczas symulacji wulkan się walił, Jake wykrzykiwał:

— Ha! Gdybym mógł to wcielić w życie, chyba posikałbym się z wrażenia!

Gdy się uspokoił, stwierdził:

— Dobra. Sprawdźmy, jak wielkie bum tutaj zrobię!

Przesunął ręką pod wyświetlacz, jego palce zatańczyły na klawiaturze, w niemal hipnotycznym pośpiechu wydawał polecenia.

— Nigdy nie kochałem się z wulkanem, to dopiero gra wstępna. Ale gdy skończę, to będzie pieprznięcie wszechczasów!

Jake zdawał sobie sprawę, że gada i zachowuje się, jak opętany. Nie miał żadnego wyboru. Ale im więcej pracował, tym większą odczuwał satysfakcję, przyjemność, ekscytację wręcz. Czuł, jak te uczucia w nim rosną. Nawet gdyby mógł, nie chciałby już tego przerwać. Sprawiało mu to za dużą przyjemność.

Problem tkwił w tym, że jakąkolwiek technologię by zastosował, zergi mogły ją odszukać i zniszczyć. To też musiał uwzględnić w swoim planie — zgrać atak czasowo i zastosować taką ilość materiału, aby zergi nie zdążyły go znaleźć.

Hm...

Tak.

Przynęty. Rozstawi przynęty, aby zwabić zergi. Żeby stwory znalazły się jak najbliżej strefy docelowej wybuchu, ale jak najdalej od mechanizmów zapalających.

Dobra. Teraz musiał ponownie sprawdzić zasoby i zaplanować, jak ich użyć. Przeprowadził kolejne symulacje, sprawdził kolejne scenariusze. Mógł zadać poważne zniszczenia Mauna Koala, jak zaczął nazywać górę, ale tylko w

54% przeprowadzonych symulacji udało mu się wyzwolić tak potężną eksplozję, jakiej potrzebował. To za mało. Będzie musiał zniszczyć całą wyspę, nie mniej.

Jeśli wyspa przetrwa, jeśli przetrwa choć jeden kokon zergów... cały wysiłek pójdzie na marne.

Przerobił kolejne scenariusze, odczuwając jednocześnie podniecenie i frustrację. Praca sprawiała mu przyjemność, każdy krok przybliżał go do rozwiązania, ale drażniły go wolne postępy, były sprzeczne z imperatywem, co Jake'a złościło i niecierpliwiło.

— Niech to szlag, panie mroczny templariusz — powiedział Jake do niewidzialnego protosa. — Skoro mogłeś pan postawić mnie przed problemem, to dlaczego nie możesz podać mi rozwiązania?!

Istniał jednak sposób, aby osiągnąć cel. W głowie Jake'a misja ta nazywała się „Operacja Dewastacja”. Uda się, ale będzie go kosztować większość zasobów. Statek kolonizacyjny miał dziewięć kapsuł załadowanych ostrożnie upakowanymi skrzyniami pełnymi materiałów wybuchowych, jak również robotami górniczymi nazywanymi mobilnymi urządzeniami ładowniczymi — w skrócie MUŁ-ami. Musiał sprowadzić tutaj wszystkie, przynajmniej po jednym na każdy tunel. Co najmniej jeden dzień zajmie mu mocowanie ładunków do sond i prawdopodobnie kolejny dzień ustawienie maszyn w kanałach lawowych. Będzie musiał najpierw wysłać resztę sond, aby narobiły hałasu w każdym tunelu. Jeśli popracuje non stop bez snu...

Może się udać. Musi się udać. Gdy tylko w jego głowie skryzalizował się jasny plan, Jake wysłał sygnał na statek kolonizacyjny i wezwał wszystkie dziewięć kapsuł. Najbliższe okienko startowe właśnie otworzyło się za horyzontem. Kapsuły dotrą tutaj za dwie godziny. Jake musiał natychmiast przystąpić do pracy, ale zadanie było wykonalne. Należało też przekonfigurować sondy, dostosować współczynnik mocy do wagi, aby zrekompensować dodatkowy ciężar materiałów wybuchowych i zsynchronizować detonatory z sygnałem wielopasmowym.

Badania geologiczne wykazały, że w górze jest kilka głębokich szczelin spowodowanych erozją, trzęsieniami ziemi i dawnymi erupcjami. Jake mógł wprowadzić MUŁ-y do komór, aby wstrzeliły w szczeliny płynny materiał

wybuchowy aż po rdzeń wulkanu. Wtedy wystarczy zdetonować wszystko naraz.

Jeśli to podziąła i wszystko pójdzie zgodnie z planem, kaldera zawali się, północno-zachodnia ściana oderwie się od zbocza i cały wulkan eksploduje. Siły uwolnione przez wybuch zniszczą resztę wulkanicznego stożka i sprawią, że ten zapadnie się we wtórnym tąpnięciu. A jeśli leżąca pod spodem magma zostanie odpowiednio wzburzona, cała wyspa zostanie pochłonięta przez kulę ognia. Lepiej, żeby Jake obserwował to wszystko z bezpiecznej odległości.

Na przykład z orbity.

Chociaż może...

Najmniejsza z wysp archipelagu nadal była wystarczająco duża, jak na jego potrzeby. I znajdowała się 300 kilometrów na północny zachód od strefy wybuchu. Gdy zergi znikną, Jake mógłby się tam osiedlić w spokoju.

Przerobił kolejne scenariusze, szukając optymalnego wzorca. Wkrótce stało się oczywiste, że istniało wiele nieznacznie różniących się od siebie wariantów do wyboru, ale wszystkie nadal podpadały pod warunki „Operacji Dewastacji”. Jake westchnął.

— Szlag. Nie ma prostszego sposobu. Ani lepszego.

Zaczął wysyłać odpowiednie komendy.

— Mam nadzieję, że przeklęty protos ma dość oleju w głowie, żeby się stąd wynosić. Nie zamierzam go teraz szukać.

#

Lassatar dowiedział się o planach człowieka, gdy tylko spadła pierwsza kapsuła z ładunkiem. Zanim Jake wprowadził pierwszego MUŁ-a do tuneli, protos wiedział już dokładnie, jak zamierza postąpić człowiek, i oddalił się na bezpieczną odległość od wulkanu, zostawiając fragmenty protoskiej technologii, wystarczająco, aby zająć część zergów. Należało pomóc człowiekowi i odwrócić ich uwagę.

Było coś jeszcze, co również musiał zrobić. Zergi wyczułyby wibracje, zaczęłyby sprawdzać, co się dzieje. Gdy tylko kolonia odkryłaby roboty górnicze pompujące płynne materiały wybuchowe do szczelin, zergi przystąpiłyby do ataku.

Ale te stwory — zainfekowane przez tożsamość — gdy tylko zdałyby sobie sprawę ze skali działań Jake'a, poczułyby się zagrożone i cała kolonia by się wzburzyła. Nie można było przewidzieć, jak zachowałyby się pojedyncze osobniki. Część mogła spanikować i uciec. Lassatar wiedział, że jeśli plan człowieka ma zadziałać, to musiał zatrzymać wszystkie zergi we wnętrzu wulkanu.

Czekał więc. I wsłuchiwał się w ich emocje. Kiedy zergi wyczują niebezpieczeństwo, złęką się. Kiedy Lassatar poczuje ich lęk, zacznie działać...

#

I w końcu się zaczęło.

Jeden z zerglingów odkrył MUŁ-a pompującego płyn wybuchowy w szczelinę w skale wulkanicznej. Stwór wrzasnął, skoczył i zaczął walczyć w agonii, gdy lotny, kwasowy płyn przeżarł jego pancerz. Kolejna bestia zawahała się, gdy niosąca ładunki wybuchowe sonda przemierzała korytarz — zerg cofnął się na widok obcego obiektu. Trzeci, zergling, napotkał wielki pakiet, który tykał złowieszczo i powodowany nietypową dla nich ciekawością, zaniósł go w głąb gniazda do zbadania.

Jeden po drugim zergi wróciły na biomasę, aby zgromadzić się i podzielić swoimi doświadczeniami ze spotkaniem z nieznanymi im wytworami ludzkiej technologii. Zbiorowym efektem była niepewność, nerwowość, potem pierwsze niepokojące uczucie, nieznanie wcześniej kolonii — denerwujące dla pojedynczych osobników, ale przytłaczające po wzmocnieniu przez kolektyw. Nawet te zergi, które niczego nie napotkały i nie doświadczyły, przeraziły się zbiorowym niepokojem pobratymców.

Wybuchła panika. Część zerglingów zamarła w bezruchu, sparaliżowana. Inne uciekły głęboko w tunele, a jeszcze inne szukały ucieczki na górze. Większość zgromadziła się jednak do kontrataku. Ale przeciwko komu?

Wtedy zergi poczuły walenie. W spanikowanych mózgach, w chitynowych pancerzach i drżących ciałach poczuły miarowy łomot, zamęt i światło, które nimi zachwiało. Część przewróciła się, część zamarła, jeszcze

inne zadrżały. Tępiciele odczuły to jak trafienie i wybuchły na miejscu. Serce kolonii zaznało potężnego wstrząsu. Był to efekt działania pełnej mocy artefaktu xel'naga.

Potem zrobiło się jeszcze gorzej. Dudnienie narastało, zamieniło w ogłuszający łomot psioniczny. Macki biomasy w całej górze cofnęły się i zwinęły. Kolonia zergów znalazła się w epicentrum burzy strachu i doświadczyła czegoś, czego nie przeżyła jeszcze żadna inna grupa tych stworzeń: wszechogarniającej grozy! Każda bestia wrzeszczała i ryczała, miotając się i rzucając dziko, wpadając w straszliwe konwulsje, niezdolna do jakiegokolwiek działania.

I wtedy...

Sondy zapaliły silniki, jedna po drugiej, w zsynchronizowanej kaskadzie ognia. Ściany super-gorącego powietrza wypełniły tunele aż do serca uśpionego wulkanu, podgrzewając i topiąc skały.

Przez wulkan przetoczył się grzmot. Ze zboczy w obłokach pyłu posypały się lawiny mniejszych kamieni, które zaczęły porywać coraz większe głązy.

I wtedy, gdy góra rozgrzała się do granic wytrzymałości, nastąpił pierwszy wybuch. Trochę przedwcześnie, ale cała reszta poszła zgodnie z planem, w serii perfekcyjnie zaplanowanych eksplozji.

Góra zadrżała. Ale nic się nie stało.

Pierwszym słowem Jake'a, znajdującego się w położonym daleko punkcie obserwacyjnym, było oczywiście:

— Szlag!

Wtem... nagły podmuch. Kolejny wstrząs. Narastający. Góra zaczęła drżeć. Północno-zachodnia ściana wulkanu wybrzuszyła się i groźnie spuchła... aż nagle eksplodowała.

Nagły, potężny huk narastał, gdy kolumny dymu i rozgrzanych skał wyleciały w powietrze, wyżej i wyżej, tworząc wieżę grozy i zniszczenia. Płonące skały wystrzeliły we wszystkie strony, przebijając błękitne sklepienie. Erupcja trwała godzinami, wyrzucając strumienie lawy w parujące morze na odległość kilometrów.

— Niech to szlag! — zareagował Jake. Ogarnęła go radość. Niewiarygodna, zadziwiająca radość. Miał ochotę zatańczyć. Zalał go przyptyw

przemoznych emocji, tak potężnych, że aż wyczerpujących i wprawiających ciało w drzenie.

I nagle Jake poczuł się wolny. Bezgranicznie wolny i radosny. Był to jednak inny rodzaj radości. Nie tylko radości zwycięstwa, ale i głębszej, wewnętrznej — błogiego spokoju.

Jego plan się udał — nie przetrwał żaden zerg. Wiedział to. Nie wiedział, skąd wie, ale wiedział.

— Nic się nie uchowa. — Zdał sobie sprawę, że powiedział to na głos. Popatrzył na wyświetlacz przezierny w hełmie. — Możliwe, że ja też nie.

Odwrócił się do sępa.

Stał tam jego sojusznik, mroczny templariusz.

— Cześć — przywitał się Jake.

Protos nie odpowiedział.

Jake wiedział, dlaczego.

To przez psioniczny wybuch. Jake też to odczuł, nawet z tej odległości. Musiał pozbawić templariusza sił.

Człowiek patrzył w zdumieniu. Skoro protos był wyczerpany, to czy również bezbronny? Czy przybycie tutaj stanowiło zatem oznakę zaufania? Czy templariusz wiedział, że Jake nie wykorzysta chwili jego słabości?

Czy może Jake'owi tylko się zdawało?

Wtedy protos podniósł rękę. Gest pozdrowienia.

Właśnie to czuł Jake — nienazwane uczucie. Wdzięczność. Partnerstwo. Braterstwo? Coś.

— Hm... pewnie tak...

Mroczny templariusz chyba mu się przyglądał. I przez chwilę Jake odczuł też strach. Czy nie był już przydatny?

Nie.

Protos musi czuć to samo.

Jake uśmiechnął się.

— To chyba początek pięknej przyjaźni, he?

Protos przestał przyglądać się człowiekowi i zniknął.

— Albo i nie. — Wzruszył ramionami Jake.

Odwrócił się i popatrzył kolumnę dymu i ognia.

— Dobra, pora się wynosić.

Nie był pewien, gdzie się teraz uda, ale tym razem na pewno będzie to miejsce zamieszkane przez ludzi.